

Gazeta Sremska

1-2/2021
ISSN 1232-7476
styczeń/luty
XXXI
cena 5 zł





W Nowym Roku 2021

składamy życzenia dobrego zdrowia i radości!

Przeżyjmy go w spokoju,

poczuciu bezpieczeństwa,

przyjaznym otoczeniu i atmosferze pełnej miłości.

Niech każdy dzień niesie z sobą szczęśliwe chwile,

a codzienne obowiązki i praca

dają zadowolenie i satysfakcję.

Katarzyna Sarnowska

Przewodnicząca

Rady Miejskiej w Śremie

Adam Lewandowski

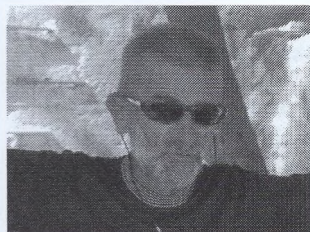
Burmistrz Śremu



Organizacja i działalność śremskich filatelistów

O początkach śremskiej filatelistyki, śremskich filatelistach, ich działalności i zbiorach pisze Adam Podsiadły.

str. 03



DONIU. Wspomnienia o Edwardzie Nowakowskim (1937-2020)

„Honorem jest móc powiedzieć, że był naszym przyjacielem, tak zapewne powie wielu z tych którzy go znali”. 27 października 2020 odszedł Edward Nowakowski – Doniu.

str. 12



Żywie Belaruś

Na Białorusi od miesięcy trwają protesty. Muzeum Śremskie zaprasza na wystawę prac białoruskich artystów wyrażających swój sprzeciw wobec sytuacji w ich kraju.

str. 42

Spis treści

- | | | | |
|---------|---|---------|--|
| str. 02 | Muzealne odkrywki: Uniform pruskiego landrata | str. 38 | Z górnej półki: Potwory i buntowniczk |
| str. 03 | Zapiski historyczne: Organizacja i działalność śremskich filatelistów | str. 40 | Kino niewidzialne: <i>KØD & BLOD</i> |
| str. 08 | Moja wielka fascynacja – Gimnazjalna Drużyna Wioślarska | str. 42 | Żywie Belaruś |
| str. 12 | Doniu. Wspomnienia o Edwardzie Nowakowskim (1937-2020) | str. 44 | Wszystko gra: Co to jest język muzyczny? |
| str. 17 | Z pamiętnika starego: Pomnik. Część 3 | str. 46 | Mój Rzym. Część 1 |
| str. 19 | Na tropach lodowca. Część 9. Sandry | str. 48 | Pory roku w malarstwie. Część 1 – zima |
| str. 24 | Sentymenty: Transport i komunikacja | str. 51 | Rzeczy minione: Frania |
| str. 26 | Warto przypomnieć: Fotograf poezji | str. 52 | B&B przez Ameryki: Las amazoński „last minute” |
| str. 28 | Nasz Talent: Maciej Skrzypczak | str. 55 | Okiem belfra: Noworoczne postanowienia |
| str. 30 | Kwiestionariusz kultury: Jakub Tylman | str. 56 | Wieści z ratusza |
| str. 32 | Opowiadanie Marty Tok: Na ostro | str. 60 | Muzeum – wydarzenia |
| str. 35 | Jestem, więc pytam: Walizka | str. 62 | ŚOK – wydarzenia |
| | | str. 63 | Biblioteka – wydarzenia |

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Uniform pruskiego landrata

Nowy rok warto zacząć od dobrych wiadomości i akurat taką mamy. Powstaje Kalendarium Śreму. Pod auspicjami Biblioteki Publicznej im. Heliodora Święcickiego w Śreмі pracuje zespół zjednoczonych sił Biblioteki, Muzeum Śremskiego i śremskich regionalistów. Dowodzi Adam Podsiadły. Mrówcza praca opiera się głównie na metodycznym przeglądaniu źródeł i ustalaniu, o ile to tylko możliwe, dat dziennych różnych wydarzeń, z minimalną dozą wątpliwości.

A wątpliwości pojawiają się nawet tam, gdzie, zdawałoby się, nie powinny. Na przykład data dzienna pożaru Młyna Parowego S.L. Szczepski w listopadzie 1938 roku. Było to wydarzenie sensacyjne. W gaszeniu ognia strażakom pomagali żołnierze, a na miejsce przybyli, oprócz tłumu gapiów, m.in. starosta śremski i komendant garnizonu. Wzmianka prasowa, na podstawie relacji telefonicznej świadka, w „Kurierze Poznańskim” z 1 grudnia 1938 roku informuje: „Wczoraj o godz. 13 wybuchł wielki pożar...”. „Wczoraj” powinno oznaczać 30 listopada, jednak czy na pewno? Może 29 listopada?

Z drugiej strony, pewne wydarzenia uważamy za tak oczywiste, że nie zastanawiamy się nad ich przebiegiem dzień po dniu. Kiedy mowa o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 roku, zawsze pada, nieco już wyświechtana, fraza „po 123 latach niewoli”. Owszem, licząc od trzeciego rozbioru Polski w 1795 roku, faktycznie 123 lata. Tyle że Wielkopolska dostała się pod zabór pruski już w 1793 roku, a jej niepodległość zatwierdzono traktatem wersalskim w 1919 roku. Jak by nie liczyć, 126 lat, a gdyby tak brać pod uwagę przyłączenie do macierzy w styczniu 1920 roku, to nawet 127. Dokładnie 127, czy 126 i kilka miesięcy? No właśnie, jak to było?

23 stycznia 1793 roku Fryderyk Wilhelm II i Katarzyna II podpisują traktat podziałowy między Prusami i Rosją, uznawany za drugi rozbiór Polski. Już następnego dnia wojska pruskie wkraczają do Wielkopolski, a król pruski Fryderyk rozpoczyna metodyczne przygotowania do zorganizowania administracji w swojej nowej prowincji. Szczegółowy przebieg tych przygotowań znajdujemy w aktach prawnych i korespondencji opublikowanych przez Towarzystwo Historyczne Prowincji Poznańskiej w 1895 roku w zbiorze *Das Jahr 1793 : Urkunden und Aktenstücke zur Geschichte der Organisation Südpreussens* pod red. Rodgero Prümersa. 11 lutego 1793 roku Fryderyk nadaje nowej prowincji nazwę Prusy Południowe, a 25 marca ogłasza patent królewski, w którym oficjalnie oznajmia aneksję polskich ziem i wzywa obywateli polskich do złożenia przysięgi na wierność nowemu władcy. 27 sierpnia 1793 roku powstaje oficjalny wykaz urzędników 17 landratur poznańskiego departamentu Prus Południowych i równocześnie wchodzi w życie nowy podział administracyjny – powstaje powiat śremski ze starostą (landratem) Carlem von Tayler auf Grusemin.

Lektura korespondencji pozwala wnioskować, że dobór landratów był staranny. Dość dużo miejsca zajmuje problem obowiązkowego uniformu landrata, by ten nie występował w tradycyjnym polskim kontuszu. Sugerowano surdut na wzór śląski, w kolorze błękitu (pruskiego!) ze złotymi guzikami i epoletami, z karmazynowymi wyłogami – bogaty i majestatyczny, zabójczy dla polskiego ducha. Za koniecznością wyrugowania narodowego stroju optował szczególnie minister von Voss. Król Fryderyk w swoich instrukcjach kładł nacisk na wytępienie polskiej demokracji.

Adam PODSIADŁY

Organizacja i działalność śremskich filatelistów (1960-1994)

Zapiski historyczne

Zainteresowania zbieraniem znaczków pocztowych mają swoje początki i związki z wprowadzeniem w obieg 1840 r. przez angielską pocztę pierwszego na świecie znaczka, tzw. czarnej jednopensówki. W następnych latach XIX wieku znaczki pocztowe pojawiły się w dziewięćdziesięciu krajach.

Pierwszy polski znaczek pocztowy ukazał się w 1860 r. z rysunkiem herbu Królestwa Polskiego i napisami: „Za łót kop. 10” oraz z taką samą treścią nadrukowaną grażdanką w j. rosyjskim.

Od początku stosowania, jak wiemy, znaczek pocztowy służy jako środek uiszczania opłaty za

usługi pocztowe oraz do rozliczania opłat za nie.

Znaczki stały się również przedmiotem bardzo popularnego hobby – filatelistyki. Określeniem „filatelista” (z j. francuskiego) nazwano zaś ludzi zamiłowanych w kolekcjonowaniu i studiowaniu znaczków pocztowych. Z natury rzeczy ta indywidualna pasja połączyła miliony ludzi na świecie m.in. poprzez wymianę znaczków i prezentowanie własnych zbiorów na wystawach.

Historia filatelistyki podaje, że pierwsze stowarzyszenie zbieraczy znaczków pocztowych powstało w Londynie w roku 1869. Na ziemiach polskich pod zaborami ruch filatelistyczny poja-



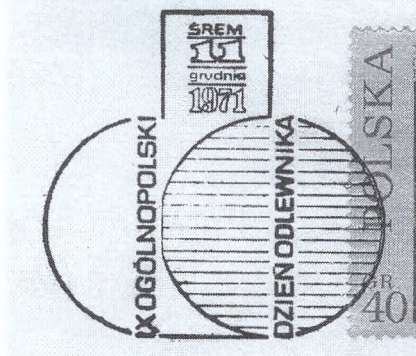
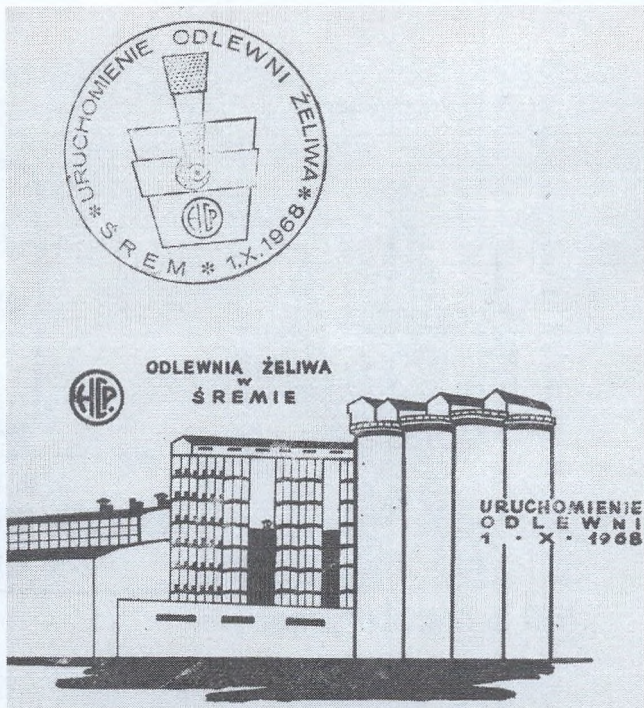
wił się najwcześniej w Galicji i tam, w Krakowie w 1893 r. założony został Klub Filatelistów, który wydawał miesięcznik „Polski Filatelista”.

Dość późno doszło do ujęcia w ramy organizacyjne filatelistów z Wielkopolski. Związek Filatelistów w Poznaniu zaistniał w 1920 r. W latach międzywojennych XX w. działało w Polsce kilkadziesiąt związków, stowarzyszeń, i tyleż klubów i kół zrzeszających kolekcjonerów znaczków. Jeszcze bardziej krajowy ruch filatelistyczny rozwijał się po 1945 r. Reaktywowano działalność kilku przedwojennych stowarzyszeń m.in. w Łodzi, Krakowie, Kielcach, Wrocławiu, Poznaniu (Wielkopolski Klub Filatelistów, zał. w 1933 r.). Wobec powołania w 1950 r. Polskiego Związku Filatelistów jako jednolitej organizacji polskich filatelistów, wszystkie stowarzyszenia filatelistyczne zawiesiły swoją działalność, przekształcając się w oddziały PZF, a później w okręgi. W podanym wyżej roku, w listopadzie rozpoczął działalność Okręg Poznań. Liczył wtedy 204 dorosłych i 12 młodocianych członków.

W Śremie nie działa się inaczej, lecz nie odnotowałem śladów działalności stowarzyszenia fila-

telistycznego w naszym mieście przed 1939 r. Jednak z całą pewnością okazał się zbiór znaczków miał Feliks Sałański. Po jego śmierci przejął wszystko jego siostrzeniec Leon „Lopek” Sałański. Miałem okazję kilka razy w mieszkaniu „Lopka” przy ul. Poznańskiej oglądać tę naprawdę bogatą kolekcję.

Drugim, o którym wiem, poważnym filatelistą był w Śremie Józef Mietliński. W oknie wystawowym spółdzielni „Obuwnik” przy ul. Walki Młodych wykładał karty ze znaczkami na sprzedaż. Tam też w 1958 r. kupiłem sobie dwa pierwsze „klasery”. Cudzystów jest na miejscu, dlatego że to były zeszyty do wklejania znaczków, które zachowałem do dziś. W znaczkach rosyjskich i radzieckich specjalizowali się Maksymilian Szubert i Michał Pługawko. Jacek Frąckowiak miał w zbiorach „Bałkany”, a Janusz Bartkowiak słusznie mógł się chwalić zasobnym zbiorem poczty niemieckiej i cennymi katalogami znaczków „Zumstein”. Heliodor Jankowski gromadził polskie znaczki, podobnie jak początkowo mój ojciec, Józef Podsiadły.



W czasach przed upowszechnieniem telewizji zbieranie znaczków wśród młodzieży szkolnej było bardzo popularne. Znaczki były wtedy przede wszystkim pozyskiwane po odklejeniu z kopert, metodą zamoczenia kawałka papieru ze znaczkiem w wodzie i następnie wysuszenia. Odrzucanie „na sucho” kończyło się niechybnie znaczkiem-kancerem, uszkodzonym i do wyrzucenia. Szukało się znajomych, którzy otrzymywali listy z zagranicy. Często spotykaliśmy się, by oglądać swoje „zabkowane skarby” i pochwalic nowościami. A wysoko w transakcjach wymiany stały okazy pochodzące z krajów zamorskich i egzotycznych. Pisaliśmy prośby do redakcji „Świata Młodych”, „Dookoła Świata”, „Sztandaru Młodych” o przysłanie adresów filatelistów – rówieśników ze świata. W ten sposób dostałem adres do afrykańskiego Senegalu. Napisałem tam i po jakimś czasie otrzymałem list z Dakaru z zestawem tamtejszych znaczków z obiegu pocztowego. Nasze zbiory nie mieściły się już powoli w albumach z chwilą przystąpienia do międzynarodowych klubów wymiany znaczków. Należało pod adresy w różnych krajach,

wskazane w liście obiegowej, wysłać po 30-50 sztuk polskich znaczków i tyle samo trafiało tym sposobem do nas.

W tym okresie prężnie działało w Śremie Ognisko Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej i z inicjatywy jego zarządu utworzone zostało w marcu 1960 r. Młodzieżowe Koło Filatelistyczne, które liczyło 37 członków. W połowie tego roku zostało formalnie przyjęte do Polskiego Związku Filatelistów Okręgu w Poznaniu. Przez rok opiekunem koła był Józef Mietliński, a po nim Józef Podsiadły. Spotkania członków odbywały się w Klubie „Macius” i w świetlicy Szkoły Podstawowej nr 2 w Śremie. Szkolenia w zakresie „filatelistycznego ABC” prowadzili wspomniani doświadczeni kolekcjonerzy, w myśl mądrego przesłania: „znaczki bawią i kształcą, pozwalają poznać świat”.

W Międzynarodowym Dniu Znaczków – 9 października – młodzież wystawiała swoje zbiory w Śremskim Ośrodku Kultury. Wysyłała głosy w ogłaszanym przez czasopismo „Filatelista” konkursie na najładniejszy polski znaczek w danym roku. Młodzież miała okazję zwiedzić



125

LAT
Gimnazjum i Liceum
Im. gen. J. Wybickiego
w Śremie

Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu. Legitymacja przynależności do PZF umożliwiała dostęp do zakupu w Państwowym Przedsiębiorstwie Filatelistycznym „Ruch” abonamentu kasowanych i nie kasowanych (bez pieczętki) znaczków polskich. Jak wynika z zachowanego wykazu realizowanych abonamentów w latach 1962-1965 komplety znaczków wydanych przez Poczta Polską trafiły do klaserów 24 młodych filatelistów.

W lipcu 1961 r. odbywała się w Poznaniu Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna Miast Targowych „Intermess II”. Z tej okazji spotkało się kilku starszych śremskich filatelistów i postanowili założyć drugie środowiskowe koło zbieraczy znaczków pocztowych.

Pierwsze zebranie Koła Miejskiego PZF odbyło się 16 VI 1962 r. również z inicjatywy Ogniska TKKF. Pierwszy zarząd koła stanowili: Heliodor Jankowski przewodniczący, Jacek Frąckowiak sekretarz, Jerzy Lange skarbnik Jan Chrzanowski i Józef Mietliński członkowie. Do koła zostało zapisanych 26 filatelistów i 2 filatelistki. Niektórzy członkowie z koła młodzieżowego, już peł-

noletni, przystąpili do koła miejskiego i z tego m.in. powodu w 1966 r. „młodzieżówka” została rozwiązana.

Członkowie koła miejskiego spotykali się raz w miesiącu. Odbierali zamówione abonamenty znaczków polskich i z tzw. Krajów Demokracji Ludowej (ZSRR, Chiny, Bułgaria, Czechosłowacja), specjalne walory filatelistyczne (błoczki, całostki, koperty FDC – z datownikami pierwszego dnia wprowadzenia nowego znaczka do obiegu). Najczęściej zbierano znaczki klasyczne, tj. seriami wydawania i tematycznie – według indywidualnie wybranych motywów.

W dniach 25 IX-10 X 1965 r. zorganizowany został w Śremie Pierwszy Pokaz Znaczków Poczтовых pt. „Lenin na znaczkach pocztowych” ze zbiorów Muzeum Włodzimierza Lenina w Krakowie. Wydano specjalną kopertę i przygotowano okolicznościową pieczętkę. Przez dwa tygodnie wystawę w sali Klubu „Kometa” jednostki wojskowej obejrzało półtora tysiąca zwiedzających. Mimo szczytnych planów nie powiodło się przygotowanie wystawy prezentującej kolekcje znaczków członków koła.



Śremscy filateliści wyjechali na zbiorową wycieczkę do Poznania na zwiedzanie Międzynarodowej Wystawy Filatelistycznej „Tematica” Poznań’ 68. Członkowie zarządu koła skorzystali z zaproszenia Zarządu Głównego PZF i w 1974 r. obejrżeli w Katowicach wystawę „Socphilex IV”.

Z dorobku działaczy Koła Miejskiego PZF pozostały datowniki okolicznościowe stosowane w UPT Śrem 1: VII Wieków Miasta Śremu (1963 r.), Uruchomienie Odlewni Żeliwa (1968 r.), IX Ogólnopolski Dzień Odlewnika (1971 r.) i 225. Rocznica Urodzin gen. Józefa Wybickiego (Miesięcznik 25 IX 1972).

W ostatnim sprawozdaniu zarządu przed rozwiązaniem koła w 1975 r. podano, że przyczyną zaprzestania działalności jest „całkowity brak aktywności członków, poważne zaległości w odbiorze abonamentów znaczków i długi w przekazywaniu obowiązkowych składek do okręgu PZF”.

Po siedmiu latach, 27 XI 1982 r. grupa byłych członków dawnego koła miejskiego postanowiła założyć je ponownie. Wybrano zarząd pod przewodnictwem Józefa Podsiadłego, z sekretarzem Piotrem Skrzyptkiem i skarbnikiem Grzegorzem Madajką. Z biegiem czasu do 25 początkowo zapisanych osób dołączyło 30 kolejnych w tym 8 kobiet. Zarząd Okręgu Poznańskiego PZF zarejestrował 22 II 1985 r. Koło Filatelistów przy Urzędzie Miejsko-Gminnym w Śremie. Liczyło 14 członków i kierował nim Jerzy Maciejewski, a od roku 1989 Mieczysław Waligóra.

Stałym punktem działalności były spotkania wymienne organizowane wspólnie z członkami Koła PZF w Odlewni Żeliwa, podobnie jak zamawianie i odbiór na pocztę abonamentów znaczków, dyskusje na temat nowości wydawnictw filatelistycznych i wiadomości przeczytanych w Biuletynach Informacyjnych Zarządu Głównego PZF, ciekawych artykułów zamieszczonych na łamach „Filatelisty” i „Zeszytach Szkoleniowych PZF”. Pozyskano za pośrednictwem okręgu PZF katalogi popularne i specjalizowanych zbiorów filatelistycznych. Grupa członków odwiedziła Ogólnopolską Wystawę Filatelistyczną w Toruniu (1983 r.) i ekspozycje tematyczne we Wrocławiu, Poznaniu (Światowa Wystawa Filatelistyczna 1993 r.), Rawiczu, Gostyniu, Lesznie. Należy

wspomnieć, że kilku śremskich filatelistów kolekcjonerów zapisało się do klubów św. Gabriel – kolekcjonerów znaków pocztowych o tematyce religijnej i „Polonica” – zainteresowanych tematyką polską na znaczkach wydawanych w różnych krajach świata.

Staraniem Koła Miejskiego i w porozumieniu z dyrektorami szkół nr 1, 2 i 3 utworzono uczniowskie kółka filatelistyczne. Młodzi kolekcjonerzy brali udział z sukcesami w corocznych „Spotkaniach z Lupikiem” w Domu Kolejarza w Poznaniu połączonych z quizami o znajomości znaczków, historii poczty, wymogach praktycznych w uprawianiu filatelistyki i podstawowych zasadach budowy zbiorów tematycznych. Uczestniczyli także w Międzynarodowych Maratonach Filatelistycznych – konkursach sprawdzających wiedzę filatelistyczną na wyższym poziomie.

W nagrodę za aktywną działalność koła miejskiego i patronat nad kołami młodzieżowymi w szkołach władze Okręgu PZF w Poznaniu przekazały gratisowo 5 egzemplarzy monografii *Poczta i filatelistyka w Wielkopolsce* (wyd. 1993) i tom *Encyklopedii filatelistyki*. Dwóch działaczy-filatelistów: Józef Podsiadły i Heliodor Jankowski zostali wyróżnieni przez Zarząd Główny PZF Srebrną Odznaką Zasługi dla Polskiej Filatelistyki.

Do pamiątek filatelistycznych doszły nowe datowniki okolicznościowe na 125-lecie Gimnazjum i Liceum w Śremie (1983), Dni Śremu (1985, 1997), Dzień Odlewnika (1987), 25 lat Radiowo-Telewizyjnego Centrum Nadawczego w Górze k. Śremu, 100-lecie Związku Pszczelarzy, Śrem 17 X 1987.

Koło działające przy UMG zakończyło działalność w lipcu 1991 r. Część jego członków przeszła do Koła Miejskiego, które ogłosiło również swoje rozwiązanie trzy lata później. W tej sytuacji pozbawione opieki i wsparcia koła szkolne także przestały działać.

Wiele wysiłku, zaangażowania i pożytecznych, udanie zrealizowanych pomysłów wniósł współcześnie do ożywienia śremskiej filatelistyki Włodzimierz Bobrowski. Wytrawny kolekcjoner i znawca znaczków pocztowych, niegdyś członek Koła Filatelistów w Odlewni Żeliwa. Być może Pan Włodzimierz zechce kiedyś o tym napisać w „Gazecie Śremskiej”, do czego w tym miejscu mocno zachęcam.

Aleksander ŚMIGIELSKI

Moja wielka fascynacja – Gimnazjalna Drużyna Wioślarska

Gimnazjalna Drużyna Wioślarska powstała przed I wojną światową, natomiast w Odrodzonej Polsce, po 1918 roku. Jej struktura organizacyjna, przedstawiała się następująco: dyrektor, komitet rodzicielski, protektor, prezes, gospodarz szalasu, sekretarz. W okresie międzywojennym, pierwszym protektorem był ks. Prefekt Mieczysław Matuszek, który po śmierci dyrektora Augusta Wundracka przejął jego obowiązki i przekazał je później dyrektorowi Henrykowi Ogonowskiemu. Niezależnie od pracy pedagogicznej ks. Matuszek prowadził Konwikt Arcybiskupi oraz opiekował się zarówno Gimnazjalną Drużyną Wioślarską, jak i przystanią na Starej Warcie, zwaną „Gondolą”, która była dostępna dla wszystkich mieszkańców naszego miasta. Drugim protektorem drużyny był profesor Józef Tarnawski, który przejął obowiązki od ks. Matuszka.

W latach 1934/35 prezesem drużyny był Zenon Surdyk (brat księdza), gospodarzem szalasu wioślarskiego Władysław Adamczewski, a sekretarzem Bogusław Ruszczyński. Drużyna posiadała swój proporczyk, o barwach czarno-czerwonych, a warunkiem przyjęcia do niej było w późniejszych latach wyrobienie sobie „karty sternika”.

Barak zwany szalasem znajdował się na ulicy Chmielnej (obecnie księdza Jerzego Popiełuszki), naprzeciwko młyna Sylwestra Szczepowskiego, obok stodoły Stanisława Grzempowskiego. Składowano w nim łodzie oraz sprzęt wioślarski. Wnętrze szalasu składało się z dwóch pomieszczeń. Pierwsze, duże, było przeznaczone na łodzie i sprzęt, a drugie na szatnię. Szatnia była długa na ponad 2 metry ozdobiona ilustracjami

Chrzest kajaka „Lwów” 1929 r., w środku z konewką Arnold Ronke. W tle firma „Rolnik” Józefa Idaszewskiego



wyciętymi z kolorowych czasopism, o tematyce marynistycznej. Na ścianie przylegającej do stoły był napis z powycinanych z kartonu liter, wysokich na ok. 15 cm: „Wara Niemcom od Pomorza”.

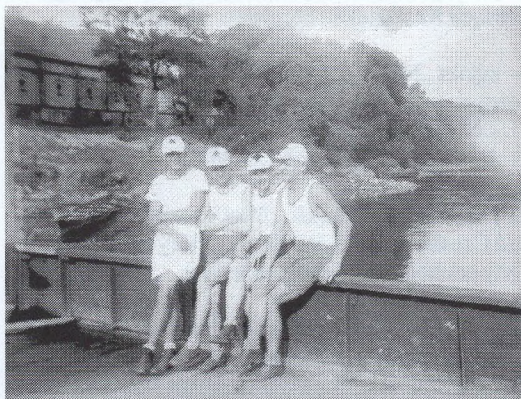
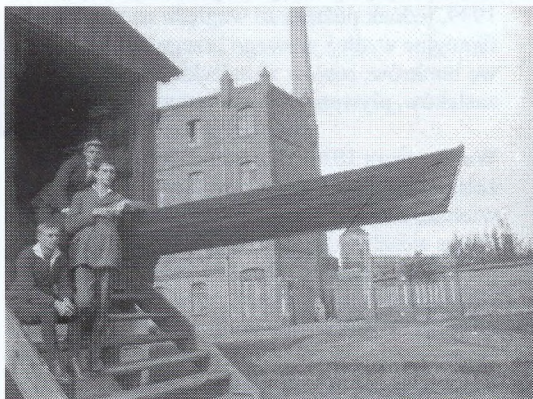
Łodzie, w drugiej połowie lat trzydziestych, były już nie pierwszej młodości i raczej nie nadawały się na spływy regionalne urządzone przez kluby wioślarskie z Poznania, czy też Kalisza. Wyjątek stanowiła „Mewa” - dwójka ze sternikiem. W dwójce obaj wioślarze mieli po dwa wiosła, którymi wiosłowali równocześnie. W przeciwieństwie do dwójki, w czwórkach, dwóch wioślarzy wiosłowało prawymi wiosłami, a dwóch lewymi. W sumie drużyna posiadała 4 łodzie oraz 4 kajaki.

„Goplana” łódź czteroosobowa ze sternikiem, na której w roku szkolnym 1929/30 via Bydgoszcz popłynięto do Warszawy i z powrotem. Ze względu na była granicę polsko-niemiecką,

Wartą dopłynięto do Sierakowa, a później łódź przetransportowano konnym wozem drabinia-
stym do Noteci i dalej popłynięto Kanałem Bydgoskim i Wisłą do samej stolicy. W drodze powrotnej trasa wiodła przez Kruszwicę, Gopło, Konin do Śreму. Członkami załogi byli: Władysław Ussorowski (sternik) oraz wioślarze: Franciszek Janietz, Klemens Friedel, Stefan Surdyk i Arnold Ronke. Pokonano 1283 km i był to duży sukces, gdyż łódź nadawała się raczej na krótsze trasy. Arnold Ronke później brał udział, między innymi, jako wioślarz w czwórce bez sternika w Międzynarodowych Regatach w Bydgoszczy (1937) i w nagrodę otrzymał puchar, ufundowany przez firmę K. Zankowski i Syn z Bielska. Po tym zwycięstwie Ronke stał się idolem dla młodych kolegów z Drużyny.

„Wanda”, ciężka łódka z klepki dębowej. W roku szkolnym 1930/31 grupa śmiałków w składzie Jan Idaszewski (sternik) oraz wioślarze: Franciszek Chudoba, Stanisław Bońda, Marian Ilski

Z lewej: „Szatas” GDW, w tle Młyn Parowy Szczepskich. Z prawej: Członkowie GDW na promie przy „Białym Gościńcu”





Na fot. z lewej: uczniowie Gimnazjum w Śremie – w środku Jan Idaszewski. Z prawej: „Szałas”, GDW

i Franciszek Jankowiak wyruszyła do Gdańska via Bydgoszcz i z powrotem przez Kruszwicę, Gopło i Konin do Śremu pokonując 1102 km. W latach 1934/1935 łódka była już mocno zniszczona.

„Mewa” dwuosobowa dwójka ze sternikiem, którą gruntownie odnowił mieszkaniec ul. Łazienkowej p. Gulik – byli doker i cieśla ze stoczni w Niemczech. Dulki (widełki do mocowania wioseł) dorobił kowal Marian Polowczyk.

„Rekin” jednoosobowy skiff, z tendencją do tonięcia, który po doraźnej naprawie nadawał się później do pływania.

W okresie międzywojennym dorobiono 3 dwuosobowe kajaki oraz dokupiono 1 jednoosobowy:

– kajak „Lwów” – wykonali go własnym przemysłem, Marian Ilski i Jan Idaszewski. Kajak poświęcił Ks. Dziekan Stanisław Michalski.

– kajaki „Mik” i „Rakieta”, do budowy których dostarczał nieodpłatnie drewno właściciel tartaku J. Łożyński, wykonali w czynie społecznym Miłkołaj Friedel i Zbigniew Łożyński.

– jednoosobowy kajak „Pirat” został zakupiony od Czesława Wasielewskiego, który go sprzedał, gdy odchodził do szkoły morskiej.

Oprócz już wymienionych członkami drużyny byli: Hilary Adamczewski, Stefan Biedrzyński, Adam Śramski, Mieczysław Owczarczak, Józef

Ratajczak, Henryk Jarosz, Marian Kubiak, Burza, Śmiśniewicz, Pierchlewicz, Jerzy Jerzycki, Henryk Guzek, Hieronim Owczarczak, Jerzy Michalski.

W szalasie znajdowała się „książka wyjazdów”, w której notowano ilość przepłyniętych kilometrów. To samo wpisywano członkom drużyny do legitymacji. Każdego roku programowano sobie dowolnie różne trasy. Tuż przed wojną popłynięto w dół Warty w okolice Obornik, do ujścia rzeki Wełny. Dokonała tego załoga w składzie: Henryk Kubiak, Stefan Szubert, Edmund Maślana, Stefan Krzysztofowicz i Tadeusz Jabłoński. Ta sama załoga popłynęła w górę Warty, do ujścia rzeki Prośny. Trasy wiodły między innymi do Puszczykowa czy też Czapur, jednak najczęściej płynięto do Jaszkowa lub też pod prąd do Białego Gościńca. W sumie przepłynięto 19483 km. Ostatnie spływy miały miejsce na początku lata 1939, jednak później ze względu na prace fortyfikacyjne wzdłuż prawego brzegu Warty – budowę bunkrów, rowów strzeleckich i przeciąganie zasieków, pływanie zostało wstrzymane.

We wrześniu 1939 roku rozpoczęła się II wojna, żelazny most na Warcie został wysadzony w powietrze, a 8.09.1939 po południu niemieccy żołnierze weszli do Śremu. Następnego dnia zwozili drewno na budowę mostu na wysokości młyna. Droga do mostu wiodła wąską uliczką od obecnej ulicy ks. Popiełuszki, pomiędzy obecnymi domami panów Frąckowiaka i Majorczyka. Most oddano do użytku w niedzielę 10.09.1939. Po-



Członkowie GDW, pierwszy od lewej Jan Idaszewski

przedniego dnia – 9 września Niemcy zerwali kłódkę do szałasus, nanieśli do niego słomy i urządzili tam sobie miejsce do spania. Nas bawiło, że jeszcze przez kilka dni, ów napis (Wara Niemcom od Pomorza) pozostał nietknięty. Późną jesienią spadły deszcze i Warta wystąpiła z brzegów, zabierając z sobą niektóre wyrzucone łodzie. Inne zostały rozkradzione. Jeszcze w roku 1940 w czasie wiosennej powodzi, polscy chłopcy z ul. Franciszkańskiej pływali na ocalałej czwórce po rozlewisku pomiędzy gazownią a ul. Parkową.

W czasie wojny szałas pełnił funkcję magazynu mąki. W 1945 roku Tadeusz Szczepski (syn Sylwestra) zaczął budować kaszarnię i w związku z tym pusty szałas przesunięto o kilkanaście metrów, w uliczkę pomiędzy domami panów Frąckowiaka i Majorczyka, i obrócono go o 45 stopni. W latach 50. gdy sypano wał przeciwpowodziowy szałas został rozebrany.

Tekst ukazał się po raz pierwszy w 1998 roku w „Pierwiosnku” wydanym z okazji 140-lecia Gimnazjum i Liceum im. gen. Józefa Wybickiego

Barbara i Antoni ZIELIŃSCY, Piotr KŁOPOTOWSKI, Andrzej WORSZTYNOWICZ

Doniu

Wspomnienia o Edwardzie Nowakowskim (1937-2020)

Barbara i Antoni ZIELIŃSCY

Honorem dla nas jest móc powiedzieć, że Doniu był naszym przyjacielem, tak zapewne powie też wielu z tych co Go poznali. Odszedł 27 października 2020 r., dla wielu zdecydowanie za wcześnie. Kim był? Mężem, ojcem, dziadkiem i pradiadkiem. Życzliwym, towarzyskim, stanowczym, szlachetnym i dobrym człowiekiem, optymistą kierującym się wartościami chrześcijańskimi. Z zamiłowania żeglarzem, wodniakiem, narciarzem, szermierzem, namiętnym czytelnikiem książek, miłośnikiem i kibicem prawie wszystkich dyscyplin sportowych. Z potrzeby i z konieczności skutnikiem (samoukiem). Zbudował lub wyremontował samodzielnie, realizując swoją pasję – żeglarsstwo, cztery jachty kabinowe i barkę na wody śródlądowe. Będąc na Florydzie świadczył usługi skutnicze na jachtach bogatych armatorów, zarabiał w ten sposób na zakup i remont swojego jachtu pełnomorskiego, którym chciał przepłynąć Atlantyk z USA do Europy.

Ukończył Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego w Poznaniu, był nauczycielem, instruktorem różnych dyscyplin, trenerem, kapitanem jachtowym. Przez chwilę producentem jachtów. Miał w sobie coś takiego miłego i sympatycznego, a jednocześnie zawadiackiego, że wielu garnęło się do Niego. Był szanowany i podziwiany przez swoich uczniów, młodzież i tych, których spotykał na swojej drodze. Wydaje się, że nie miał wrogów pomimo, że miał swoje zdanie na różne tematy, często odmienne. Rozmówców czy spotkane osoby traktował z szacunkiem (zwyyczajem żeglarskim przechodził natychmiast na Ty), niezależnie od tego kim byli i jakie mieli poglądy. Podziwiano jego pasję i konsekwentne dążenie do wyznaczonych sobie celów. Był pracowity, systematyczny, łatwo nawiązywał kontakty.

Umiał dostrzec w spotykanych osobach ich talenty, zalety i wady. Co ważniejsze posiadał umiejętność dokonania analitycznej oceny – potrafił werbalnie umocnić, pocieszyć, doradzić i utwierdzić. Potrafił też szpetnie zakłąć, ale czynił to najczęściej w chwilach nagłego wzburzenia i nawet dla słuchających było to coś w rodzaju wykrzyknika. Na pewno nie był rozrzutny, raczej oszczędny ale jednocześnie bardzo zaradny i wrażliwy na potrzeby innych. Lubił kino i muzykę klasyczną. Z żoną Barbarą chodził często do kina i bywał na koncertach w Filharmonii Poznańskiej, Operze oraz w Teatrze Muzycznym i na różnych koncertach w Śremie. Poznaliśmy Donia, kiedy miał 40 lat czyli w latach 70. XX wieku, na Przystani Żeglarskiej „Odlewnik” w Śremie i od tego czasu chętnie przebywaliśmy w Jego towarzystwie. Od lat 60. XX w. należał do klubu Żeglarskiego „Odlewnik”, był aktywnym członkiem, współuczestniczył w tworzeniu klubu oraz w budowie klubowego jachtu typu Giga s/y Pinka. W latach 80. uczestniczył w budowie jachtu pełnomorskiego typu Carter s/y Hipolit. Realizując systematycznie swoją pasję żeglarską zbudował w latach 70. XX w. swój pierwszy jacht kabinowy s/y Amba, stając się w ten sposób chyba pierwszym w Śremie armatorem prywatnym. Następnie zbudował drugi jacht s/y Amba 2 w wersji pełnomorskiej, który wywiózł na wody południowej Europy i wodował na wodach morza Adriatyckiego, gdzie pływał z rodziną i znajomymi przez wiele lat.

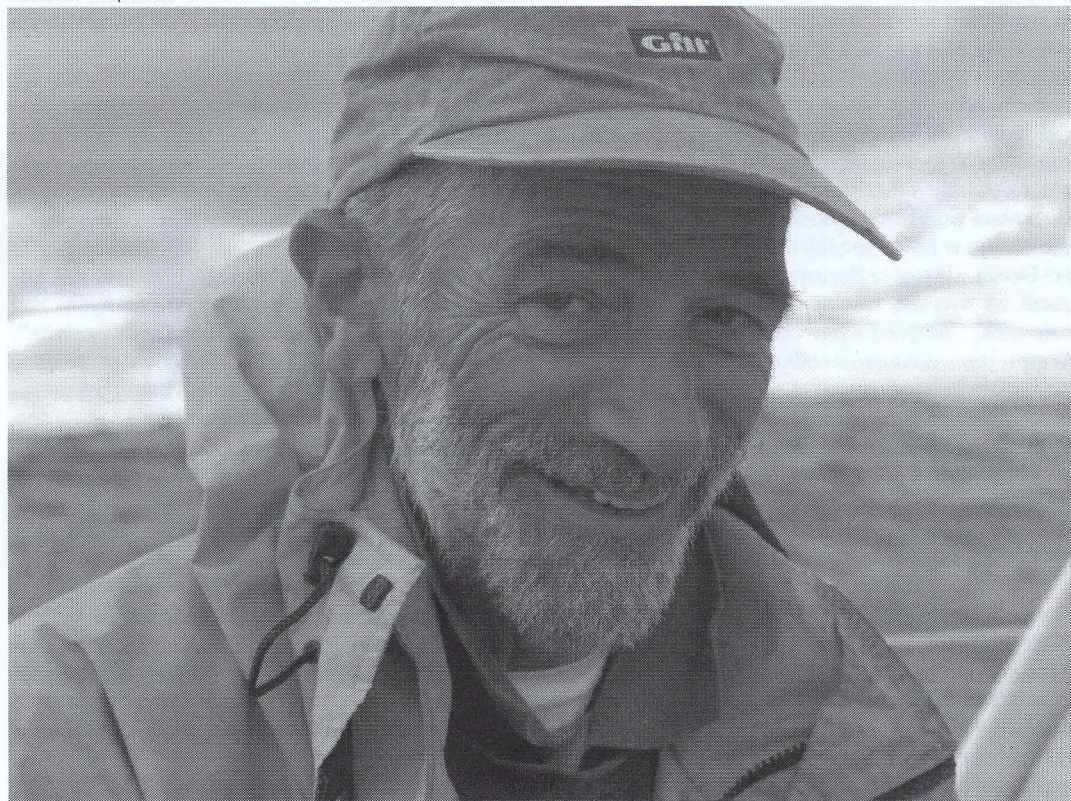
Będąc nauczycielem wychowania fizycznego w jednej ze śremskich szkół, ogłosił w latach 90. XX w. współzawodnictwo w nauce i zaproponował swoim uczniom prywatną nagrodę, wyjazd wakacyjny na jacht na morze Adriatyckie dla najlepszych uczniów. I słowa dotrzymał. Konse-

kwentnie dążył do przepłynięcia Oceanu Atlantyckiego, czytał wszystkie relacje żeglarzy, którzy przepłynęli Atlantyk i inne morza i oceany, gromadził środki aby zakupić jacht pełnomorski zdolny do pokonania Atlantyku. Ostatecznie w roku 2003 kupił w Ameryce uszkodzony jacht o długości 10 m. Remontował go samodzielnie przez 2 lata z pomocą Ryszarda Ratajczaka, śrebianina mieszkającego na Florydzie. Po zakończeniu remontu i po pierwszych pozytywnych próbach na wodzie, zaproponował kilku osobom wspólny rejs przez Atlantyk do domu. Zdecydował się na to między innymi śrebianin Marek Troszyński. Rejs przez Atlantyk zakończył się szczęśliwie na akwenach Morza Śródziemnego, gdzie pływał przez następne 10 lat. Po siedemdziesiątce zbudował barkę na wody śródlądowe, którą w ostatnich latach pływał z żoną po Warcie i na trasie Wielkiej Pętli Wielkopolskiej. Pływając z różnymi ludźmi, również z takimi,

którzy na co dzień nie byli związani z żeglarstwem, potrafił w wielu z nich zaszczerpić chęć do uprawiania żeglarstwa. Miał dar motywowania innych do pracy i nie poddawania się przy pierwszych trudnościach.

Pływając z nim po różnych morzach (Bałtyckie, Adriatyckie, Jońskie i Egejskie) zmagał się wielokrotnie z potęgą natury, a po szczęśliwym wyjściu z takich opresji miał zwyczaj mówić „Pan Bóczek nad nami czuwał”. Odbieraliśmy to jako swoiste podziękowanie naszego kapitana za szczęśliwe zakończenie walki z żywiołami. Jako kapitanowi (szyprowi) na wodzie można mu było spokojnie zaufać. Był bardzo dobrym i doświadczonym żeglarzem, pływając z wieloma załogami o różnych umiejętnościach żeglarskich, wybierał najczęściej rozsądne i bezpieczne manewry. Wszystkie świadczyły o Jego wysokich umiejętnościach panowania nad płynącym jachtem. Potrafił jednocześnie włączyć do tych manewrów

Fot. Piotr Kłopotowski



prawie całą załogę, która po szczęśliwym zaciemowaniu przy kei kolejnego portu, z entuzjazmem i radością opowiadała swoje przeżycia. Rejsy z nim miały stałe punkty dnia – wachty, a o godzinie 12:00 i 17:00 kawy całej załogi z kapitanem oraz czas na czytanie książek po obiedzie, przed zaśnięciem oraz w każdej wolnej chwili. Wśród załóg powtarzała się opowieść, że Doniu lepiej opowiada czytane książki niż one brzmią w oryginalnej wersji.

W ostatnich latach, życzyliśmy Mu aby zebrał materiały ze swoich wypraw i rejsów i napisał książkę o swoich morskich wędrówkach i przygodach. Nasz Kapitan na takie zachęty odpowiadał jednak, że mógłby tylko opowiadać – ktoś musiałby to spisać. Niestety nie doszło do tego, a teraz pewnie już za późno.

Powyższa próba odpowiedzi na pytanie kim był, nie oddaje w żaden sposób niezwyklej osobowości Donia, ale jest próbą zwrócenia uwagi, że odszedł na wieczną wachtę żeglarz, wartościowy człowiek, nieprzeciętna osobowość Śremu. Warto jego dokonania odkrywać i przybliżać zwłaszcza ludziom młodym.

Barbara i Antoni Zielińscy byli uczestnikami wielu rejsów z Doniem i jego żoną Bachną (jak czule mawiał o niej Doniu), po morzach Bałtyckim, Adriatyckim, Jońskim, Egejskim, a także kilkunastu wyjazdów na narty w Sudety, Beskidy, Tatry i Alpy

Piotr KŁOPOTOWSKI

Myśląc o Doniu, czuję jak bezwiednie się uśmiecham. Ten facet ma, od dawna zarezerwowane miejsce w moim sercu. Ta iskra w oczach, jakaś taka młodość, radość i swoboda bycia, zawsze powodowały, że obcowanie z nim było za-

równo przyjemne, wesołe, ale także pouczające. Bez względu na język, jakim posługiwał się rozmówca, Doniu zawsze potrafił się dogadać. Nie wielu to umie, on bezapelacyjnie był w tym mistrzem. Nie zapomnę, gdy po przepłynięciu z Horty na Azorach (ponad 1000 Mm na Atlantyku) dotarliśmy do pięknej Lizbony. Wybraliśmy się wtedy na duży targ rybny. On czystą polszczyzną zagadnął sprzedawczynię posługującą się tylko portugalskim językiem – „Słuchaj kochaniutka, daj no tę piękną rybkę”. Starsza kobieta posłusznie bierze i waży rybę. Następnie odcina jej łeb i podaje. – Nie, nie! Główka też nam się przyda – mówi spokojnie po polsku Doniu. Kobieta spogląda na uśmiechniętego Donia i dodaje do reszty ryby jej głowę. Ten usatysfakcjonowany oddaje pokłon. Długo jeszcze żartowaliśmy na ten temat. Ryba, którą wyśmienicie przyrządził smakowała wybornie.

To tylko jeden przykład jego umiejętności komunikacyjnych i przy okazji kulinarnych. Był także wszechstronnie uzdolnioną „złotą rączką”. Z niczego potrafił wyczarować coś – przez duże „C”. Właściwie nie było rzeczy, której nie potrafiłby naprawić. A w każdym razie, podjąć się wyzwania. Po prostu nie bał się wyzwania. Lubił je. Marzenia wcielał w czyn. Jak się poznaliśmy? W magazynie „Żagle” znalazłem ogłoszenie o czarterze jachtu na wodach Adriatyku. Nie miałem doświadczenia jako skipper, nie miałem też takich uprawnień. Powiedziałem mu o tym otwarcie. Odparł wtedy: „To dobrze, że zdajesz sobie sprawę z braku doświadczenia. Tym bardziej będziesz uważał”. Umówiliśmy się na spotkanie w jego ogrodzie w Śremie. Jakież było moje zdumienie i zadowolenie, gdy okazało się, że jest ojcem mojej koleżanki ze studiów. Zaufał mi wtedy. Do dziś jestem mu za to wdzięczny.

Przypomina mi się moment, już nie bardzo pamiętam, gdzie ani kiedy to było. Pamiętam za to jak bardzo podziwiałem jego młodzieńczą siłę. Nie był przecież już tak młody. Jacht bujał się na dość dużej fali. Trzeba było działać szybko, bo do zatoki, w której staliśmy wdierał się silny wiatr i spore fale. Zakotwiczone jachty i małe łodzie rybackie, niemiłosiernie tańczyły na falach, zataczając na długich linach i łańcuchach kotwicznych kręgi wokół własnych osi. Jedna z łodzi niebezpiecznie zbliżała się do naszej burty. Ponton przycumowany do rufy ZuLu szalał na fali. Trzeba było zdjąć z niego ciężki silnik zaburtowy i wciągnąć na pokład. To był naprawdę trudny moment. Gdy ja chronilem naszą burtę przed zderzeniem z jachtem zerwanym z kotwicy, Doniu, stawiając jedną nogę na rozszałonym pontonie, drugą na rozbujaną rufę ZuLu, trzymał się jedną ręką jachtu, drugą uniósł ciężki silnik i włożył go na pokład jachtu. Jeszcze dziś jestem pełen podziwu dla niego.

Wydaje mi się, że najlepiej poznaje się człowieka przebywając z nim na jachcie. To bardzo mała powierzchnia. Nie można nigdzie uciec. Wokół mnóstwo wody. Ocean. Żegluga przez Atlantyk z Doniem i Markiem Troszyńskim to taki czas, do którego lubię sięgać pamięcią. Prowadziłem wówczas zapiski, rodzaj dziennika. 17 lipca zapisałem między innymi: „...Robię zdjęcie Doniowi. Moim zdaniem wygląda wspaniale w swoim złotym, zużyтым sztormiaku. Opalony, twarz poorana przez słońce i stony wiatr. Prawdziwy Wilk Morski...” I potem: „...płyniemy na Wschód, tam musi być jakaś cywilizacja! – woła rozbawiony Doniu. Wszyscy we trzech wybuchamy śmiechem...” Takiego go chcę zapamiętać. Takiego pozostawiam w sercu.

Andrzej WORSZTYNOWICZ

Kim dla mnie byłeś, kim zostaniesz w mojej pamięci, kim nadal jesteś? Ciężko jest – w niespełna miesiąc po Twojej śmierci – oddać to co czuję. Twoje odejście bardzo mnie zabolało. Czy w ogóle można przelać na papier obraz postaci tak nietuzinkowej, tak dla wielu niezwyklej...

Poznałem Cię 57 lat temu. Wyruszałem ze Śreму na swoje pierwsze ogólnopolskie zawody szermiercze – mistrzostwa Polski juniorów w Białymstoku, a Ty byłeś opiekunem – moim i Twojego brata Jurka.

Gdy w 1970 roku, po studiach, wróciłem do Śreму zostaliśmy przyjaciółmi. W ciągu kilku pierwszych lat ukształtowała się piękna grupa, dziewięć par małżeńskich. Mimo tego, że mieliśmy różne pasje i zainteresowania, dzieliły i nadal dzielą nas poglądy, zawsze przez te czterdzieści kilka lat znajomości czuliśmy się w swoim towarzystwie dobrze i z radością pojawialiśmy się na kolejnych imieninach, czy okazjonalnych spotkaniach. Przyjaźń bez wstrząsów, kłótni czy wzajemnych uprzedzeń – jak to możliwe, że przetrwała tyle lat?

Co teraz? Bez Ciebie, bez naszego „Wodza” ... To się okaże. Okaże się, jak się odnajdziemy, w jakim stopniu Ty wpływałeś na nas swoją osobowością i postawą.

Byłeś niewątpliwie centralną postacią naszych spotkań. Nie pchałeś się na afisz, wystarczała Twoja obecność, by wszyscy chcieli być blisko Ciebie.

Nie narzucałeś się ze swoimi poglądami, choć miałeś je bardzo wyraziste i nigdy nie kryłeś się z nimi. Zawsze jednak ciekawy byłeś argumentów drugiej strony, słuchałeś i uważałeś za coś oczywistego, że ktoś ma prawo myśleć inaczej niż Ty. Znakomite były Twoje puenty, podsumowujące

czasem jednym zdaniem długą dyskusję. Po prostu byłeś mądrym człowiekiem.

Budziłeś podziw podejściem do realizacji swoich marzeń, szczególnie tych żeglarskich. Pokazałeś, że liczą się nie pieniądze, a pasja i upór. Byłeś „złotą rączką”. Sam zbudowałeś morski jacht i odtąd wszystkie wakacje spędzałeś pływając po Adriatyku czy Morzu Egejskim. Kiedy kupiłeś stary, używany jacht na Florydzie, w swoim stylu przetransportowałeś go do Europy – po prostu przepłynąłeś Atlantyk (w towarzystwie Marka Troszyńskiego).

Gratulowaliśmy Ci tego wyczynu, a Ty skromnie oświadczyłeś, że podziękowania należą się Panu Bogu, który na to pozwolił.

Kochałeś sport. Uprawiałeś narciarstwo alpejskie. Kiedyś była szermierka, siatkówka, koszykówka, lekkoatletyka. Pamiętam Cię z tamtych lat. Widziałeś w sporcie przede wszystkim piękno – piękno ruchu, rywalizacji, hartu ducha.

Byłeś zapalonym kibicem. Ciekawe były nasze kibicowskie rozmowy z udziałem Zbyszka Rubacha, Twojego przyjaciela z ławy szkolnej.

Wiem, że byłeś urodzonym pedagogiem. O tym jednak powinni coś powiedzieć Twoi wychowankowie. Ja przytoczę jedno zdarzenie. Nasz pierwszy wyjazd na narty. Lata siedemdziesiąte. Dziesięć osób, cała nasza grupa w jednym pokoju. Wszyscy oprócz Ciebie – zieloni narciarze. Przez cały tydzień cierpliwie uczyłeś nas podstaw. Sam nie pojeździłeś nic. Tyle kosztowała Cię satysfakcja z postępów „wychowanków”.

W kilku ostatnich latach pochodziliśmy trochę po lesie. Potrafiłeś zachwycić się przyrodą, stanąć i zwyczajnie powiedzieć „jak tu pięknie”.

Podziwialiśmy Cię za to, jak znosiłeś śmiertelną chorobę. Potrafiłeś zwyczajnie o niej rozmawiać, czasem zażartować. A przecież miałeś świado-

mość, że jest źle. Nie poddawałeś się. To była ostatnia walka... Czy przegrana?

Myszę, że Najwyższy Sędzia uznał Twoje dokonania. Przyjął Cię jak dobrego chrześcijanina. Miałeś piękne życie, żyłeś pięknie, z piękną rodziną i mam nadzieję, że wspaniałymi przyjaciółmi.

Może teraz będziesz organizował naszą grupę TAM. Stefan „Stif” już tam jest. Biologia jest nieubłagana – szybko dołączą pozostali. Czekaj na nas.

PS. Nasz wspólny przyjaciel Tomek Królikowski też chciał napisać wspomnienie o Tobie. Nie zdążył. Zmarł nagle 5 grudnia, 39 dni po Tobie. Był młodszy od Ciebie o 12 lat. Kiedy redagował Twój nekrolog do gazety napisał: „Żegnaj... i do zobaczenia Doniu!”. Zmieniliśmy to. A jednak... „do zobaczenia”.

Żegnajcie serdeczni Przyjaciele! Do zobaczenia Doniu i Tomku.

8 grudnia 2020 roku

Leszek MAŃKOWSKI

Pomnik. Część 3

Z pamiętnika starego

Pomnik ks. Piotra Wawrzyniaka został odsłonięty 11 marca 2000 r., w 150-lecie powstania śremskiego Spółdzielczego Banku Ludowego. Głównej uroczystości towarzyszyły inne spotkania związane z życiem i działalnością „Króla Czynu”. W wigilię niezwykle wydarzenia, w piątek 10 marca spotkaliśmy się w Wyrzece. Kwiaty pod tablicą znajdującą się na ścianie rodzinnego domu Księdza Patrona złożyli przedstawiciele władz miasta i gminy Śrem, członkowie Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie, delegacje Spółdzielczego Banku Ludowego im. Ks. P. Wawrzyniaka, instytucji oraz organizacji społecznych, mieszkańcy Wyrzeki i Śremu. Uczestnicy uroczystości przeszli następnie do Domu Ludowego, który nosi imię ks. Piotra

Wawrzyniaka. Wykłady poświęcone pamięci Króla Czynu przedstawili: ks. Marian Cynka – proboszcz parafii pw. św. Wojciecha w Dalewie oraz dr Marek Rezler – historyk, biograf ks. Wawrzyniaka. Spotkanie w Wyrzece zakończył program artystyczny w wykonaniu uczniów tamtejszej szkoły podstawowej.

W dniu, kiedy – po uroczystej mszy św. w Farze – odsłonięto i poświęcono pomnik, odbył się koncert w kościele na Jezioranach. Były też wystawy przygotowane przez Muzeum Śremskie oraz ekspozycja śremskiego koła filatelistów.

Trwające rok działania Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie dla upamiętnienia Patrona podsumowano 8 kwietnia 2000 r. w czasie spotkania w Muzeum Śremskim.

Odczytanie aktu erekcyjnego, 4.03.2000 r., fot. R. Chrabąszcz





Medal Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka proj. K. Jakubik

Pomnik nie powstałby bez sponsorów, darczyńców, ludzi dobrej woli. Było ich wielu. Główni sponsorzy są wymienieni na tablicach w tylnej części postumentu oraz uhonorowani statuetkami – miniaturami pomnika. Medale Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie otrzymali kolejni darczyńcy i osoby, które szczególnie, w różnorodny sposób przyczyniły się do budowy pomnika. Wyróżniono tak 38 podmiotów – instytucje, banki, firmy, stowarzyszenia, osoby prywatne.

Jubilat, 150-letni Spółdzielczy Bank Ludowy im. Ks. P. Wawrzyniaka poza sponsorowaniem monumentu zrealizował wiele innych zadań. Wydał okolicznościowe foldery, materiały informacyjne, pamiątki oraz kartkę pocztową. Ks. Patron, wieloletni prezes zarządu, później prezes rady nadzorczej śremskiego banku został godnie upamiętniony przez następców.

Napis na frontowej ścianie cokołu pomnika: „Ks. P. Wawrzyniak” jest swoistym autografem, facsimile podpisu Patrona na bankowym dokumencie. Na kartce pocztowej odwzorowano treść, pisownię i grafikę z kartki wydanej na cześć ks. P. Wawrzyniaka jeszcze za jego życia. To wybrane odniesienia do tamtych czasów.

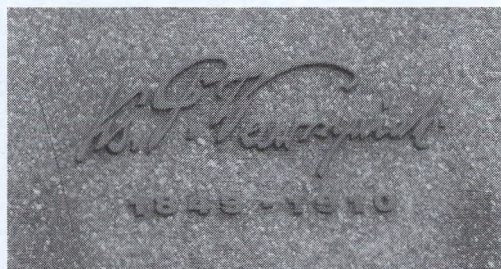
Wspomnienia... Czy pomnik de facto został odsłonięty? Szacowne grono dokonywało tego aktu,

ale – uparta szarfa, ściśle zintegrowana z rzeźbą (dzięki działaniu czynników meteorologicznych) nie dała się zdjąć. Książd do końca dnia pozostał przepasany białą-czerwoną! Było więc tylko usiłowanie –?

W działaniach Towarzystwa współpracowali wtedy ręka w rękę (i głowa w głowę): Bogusław Bajoński, Andrzej Ratajczak, Marek Basaj, Krzysztof Łożyński, Adam Lewandowski – wszyscy kolejni burmistrzowie naszego miasta... Można?

Pytano mnie kiedyś, który z tysięcy moich podpisów uważam za najważniejszy. Stale odpowiadam: ten na akcie erekcyjnym, zamurowanym w cokole.

Fotografie ze zbiorów Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie



Michał LORENC

Sandry – królestwo piasku i żwiru

Na tropach lodowca... Część 9

Jak zapewne pamiętamy, głównym bohaterem tego cyklu artykułów jest lodowiec, zwany lądolodem skandynawskim. Powstał w Skandynawii, około 25 000 lat temu, a następnie zwiększając swój zasięg i grubość, nieco ponad 20 000 lat temu, pokrył ziemię śremską warstwą lodu o miąższości około 400 metrów. Przez kolejne setki lat lądolód i jego wody roztopowe kształtowały swoje podłoże, pozostawiając po sobie różnorodne ślady i tropy. Do najbardziej czytelnych z nich należą polodowcowe formy rzeźby terenu, po których wędrujemy w kolejnych artykułach

Mapa. Szkic geomorfologiczny otoczenia Włociszewic wg SMGP (Szczegółowa Mapa Geologiczna Polski), arkusz Śrem



- Moreny czołowe
- Sandry
- Wysoczyzna morenowa

- Krawędź rynny podlodowcowej
- Stoki pradolin
- Torfowisko

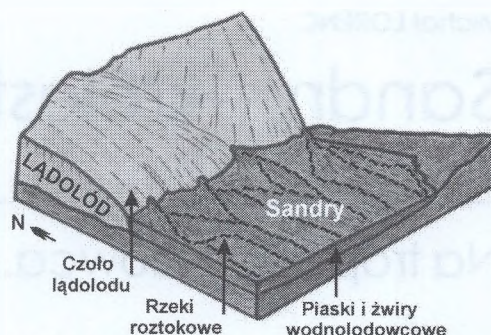
tego cyklu. Lądolód zaś, co uzasadnione, zwiemy wybitnym rzeźbiarzem terenu ziemi śremskiej. Spójrzmy dziś na jego kolejne dzieło. W naszej wędrówce ponownie wybierzemy się na południe od Śremu, tym razem w okolice Dolska, a konkretnie Włociszewic, położonych 14 km na południowy wschód od Śremu i jednocześnie 7 km na wschód od Dolska. Zainteresują nas sandry – dzieło potężnych rzek lodowcowych. Powstały one jednak nie pod lądolodem, jak większość omówionych do tej pory form polodowcowej rzeźby terenu, ale na przedpolu lądolodu, zatem na obszarze niezlodzonym. Czyż nie jest to intrygujące? Polodowcowa forma rzeźby terenu powstająca poza zasięgiem lądolodu? Jak to możliwe?

Otóż jak zapewne pamiętamy z wcześniejszego artykułu tego cyklu („GŚ” nr 5-6/2020) właśnie na wysokości Dolska, około 20 000 lat temu, zatrzymał się płynący z północy na południe lądolód skandynawski, osiągając w ten sposób swój maksymalny zasięg na ziemiach polskich. Jego czoło przebiegało wówczas po północnej stronie Włociszewic. Pamiętamy również, że tuż przed czołem stagnującego lądolodu powstawały wysokie wzniesienia, zwane morenami czołowymi. Tworzyła je głównie wytapiająca się z lodu glina lodowcowa. Wzniesienia takie powstały również po północnej stronie Włociszewic. Są to jedne z najwyższych kulminacji terenu na ziemi śremskiej (130 m n.p.m.), (mapa). Warto jednak zwrócić uwagę, że są one rozdzielone (rozcięte) na dwie części: zachodnią i wschodnią. Dlaczego?

Jak wiemy z innego artykułu tego cyklu („GŚ” nr 7-8/2019), w obrębie lądolodu płynęły ogromne ilości wody, szczególnie w miesiącach nieco cie-

plejszych, gdy temperatura powietrza nieznacznie wzrastała powyżej 0°C, a lód się topił. Woda płynęła wówczas po powierzchni lodu (rzeki supraglacialne), w jego wnętrzu, w licznych spękaniach i szczelinach (rzeki inglacialne), jak również pod lądolodem, jako rzeki podlodowcowe (rzeki subglacialne). Woda płynąca po powierzchni lodu, wnikała w jego różnorodne szczeliny, często ostatecznie osiągała podłoże lądolodu, zasilając w ten sposób rzeki podlodowcowe. Mogły one uzyskiwać imponujące rozmiary, np. wielkość rzeki Warty w Śremie. Z tą różnicą, że rzeki podlodowcowe posiadały ogromną energię, zatem płynęły bardzo szybko, dynamicznie, podobnie jak ma to miejsce w strumieniach i rzekach górskich. Jak pamiętamy, również z przywołanego powyżej artykułu tego cyklu, dzięki tej ogromnej energii rzeki podlodowcowe wcinały się w podłoże (erozja rzeczna), tworząc swoje głębokie koryta, czyli rynny podlodowcowe.

Taka właśnie rzeka podlodowcowa płynęła pod lodem z północy na południe, w kierunku Włoszciejowic i moren czołowych powstających na przedpolu lądolodu skandynawskiego w północnym sąsiedztwie tej wsi. Śladem tej rzeki jest rynna podlodowcowa, tzw. rynna włoszciejowicka, widoczna do dnia dzisiejszego, gdyż jej krawędzie łatwo dostrzec w terenie (mapa). To jedna z największych rynien podlodowcowych na ziemi śremskiej. Rozpoczyna się po zachodniej stronie Książa Wielkopolskiego, przy stromej krawędzi Pradoliny Warszawsko-Berlińskiej i ciągnie się na południe, niemal po Włoszciejowice, osiągając długość rzędu 6 km i szerokość ponad 1 km. Łatwo sobie wyobrazić, że musi być ona dziełem całkiem okazałej rzeki podlodowcowej. W czasie istnienia lądolodu w tym miejscu, rynna ta była jednak znacznie dłuższa, gdyż ciągnęła się dalej w kierunku północnym. Tam jednak została ona rozmyta przez rzeki płynące w tworzącej się pradolinie, zatem po ustąpieniu lądolodu z ziemi śremskiej („GŚ” nr 9-10/2019). Obecnie rynna włoszciejowicka jest zatorfiona, stąd znajdują się w niej liczne torfianki, czyli wypełnione wodą zagłębienia powstałe w wyniku eksploatacji torfu. W odnodze tej rynny znajduje się również Jezioro Jarosławskie (Mapa).



Geneza sandrów

Rzeka podlodowcowa płynąca w rynnie włoszciejowickiej w kierunku południowym, w końcu osiągała czoło lądolodu, przebiegające 20 000 lat temu w północnym sąsiedztwie Włoszciejowic, wypływając na jego przedpole, zatem na obszar wolny od lodu. Działo się to w miejscu, w którym w tym samym czasie, tuż przed czołem lądolodu, powstawały wspomniane wzniesienia moren czołowych. Płynąca z ogromną energią rzeka rozcinała te wzniesienia, dzieląc je tym samym na część zachodnią i wschodnią. Rozcięcie wzniesień morenowych w północnym sąsiedztwie Włoszciejowic, to tzw. „brama włoszciejowicka” (mapa). Zauważ, że podlodowcowa rynna włoszciejowicka kończy się właśnie w rozcięciu wzniesień morenowych, zatem w „bramie włoszciejowickiej”. Cóż jednak wspólnego ma owa rzeka podlodowcowa oraz rynna i brama włoszciejowicka, z podjętym tematem sandrów?

Otóż dzięki swej dużej energii rzeka podlodowcowa niosła w swym nurcie potężne ilości głazów, żwiru, piasku i drobniejszego materiału skalnego, wytopionego z lodu. Jak pamiętamy, lądolód to nie czysty lód, gdyż niczym gigantyczna ciężarówka transportuje w sobie potężne ilości fragmentów, okruchów, drobin różnorodnych skał i minerałów. Rzeka podlodowcowa płynąca w rynnie włoszciejowickiej, obciążona tą materią skalną, wypływając przez bramę włoszciejowicką na otwarty, wolny od lodu teren, podlegała ogromnym zmianom. Tempo jej spływu, choć nadal bardzo duże, dynamiczne i burzliwe, ulegało zmniejszeniu. Jednocześnie, rzeka ta, mając do dyspozycji otwartą, wolną przestrzeń, płynęła wieloma korytami, które wiły się



Fot. 1. Falista powierzchnia sandrów pod Włociejewicami

i kluczyły po podłożu, łączyły i rozdzielały. Ich przebieg był zatem bardzo niestabilny, podlegając zmianom nawet z dnia na dzień. To tzw. rzeka roztokowa, inaczej warkoczowa (rysunek), od wspomnianej dużej ilości koryt, które niczym długie warkocze wiją się po podłożu. Obecnie takie rzeki możemy obserwować na przedpolach współczesnych lodowców. W Europie np. w Alpach, w Górach Skandynawskich w Norwegii, a tym bardziej na Islandii lub na Spitsbergenie.

Właśnie spadek prędkości spływu tej rzeki w „bramie włociejewickiej”, gdzie opuszczała ona lądolód, a później w miarę jej oddalania się od czoła lądolodu, jest kluczowy. Oznacza on bowiem, że niesiony przez tę rzekę materiał skalny, zarówno ten drobny jak i grubszy, nie mógł być transportowany przez wodę bez końca. Spadek prędkości jej spływu oznaczał bowiem spadek możliwości transportowych rzeki i w rezultacie konsekwentną depozycję (sedymencję) najpierw najcięższych fragmentów skał niesionych przez jej nurt, np. głazów, grubego żwiru, a nieco

później i w większej odległości od czoła lądolodu, depozycję lżejszych ziaren żwiru i piasku. Zatem rzeka oddalając się od lądolodu i tracąc prędkość spływu, konsekwentnie „gubiła” niesiony w swym nurcie materiał skalny, poczynając od tego najcięższego, po coraz drobniejszy i lżejszy. Naniesione przez rzekę warkoczową piaski i żwiry, to tzw. osady o genezie wodnolodowcowej, gdyż zostały naniesione przez wodę, której źródło stanowił topniejący lodowiec (Rysunek).

Wynoszenie przez rzekę roztopową na przedpole lądolodu ogromnych ilości piasku i żwiru, a następnie ich depozycja, nie mogło pozostać bez śladu w rzeźbie terenu. Tak też się stało. Piaski i żwiry deponowane przez rzekę tworzyły bowiem wielkie, płaskie stożki napływowe, czyli stożki sandrowe, zwane krócej sandrami (Rysunek). Były one najlepiej wykształcone w pobliżu czoła lądolodu, a w miarę oddalania się od niego stawały się bardziej spłaszczone. Zazwyczaj łączyły się, tworząc rozległe piaszczysto-żwirowe równiny sandrowe. Takie formy polodowcowej



Fot. 2. Wodnolodowcowe piaski i żwiry pod zabudowaniami Włoskiejewic

rzeźby terenu znajdują się w okolicy Włoskiejewic, a szczególnie po południowej stronie tej wsi, gdzie szerokość równiny sandrowej sięga 3 km (Fot. 1). Właśnie tą drogą odpływały na południe wody rzeki płynącej we włoskiejewickiej rynnie podlodowcowej, które po opuszczeniu lądolodu przyjmowały postać rzeki roztokowej czyli war-koczowej. Włoskiejewice położone są zatem na sandrach, czyli na piaskach i żwirach o genezie wodnolodowcowej, które stanowią zapis wytapiania i zaniku lądolodu skandynawskiego (Fot. 2).

Wodnolodowcowe piaski i żwiry w otoczeniu Włoskiejewic nie umknęły uwadze człowieka. Były i nadal są eksploatowane w licznych wyrobiskach, głównie na cele budowlane. Rzeźbę terenu i krajobraz modyfikują zatem funkcjonujące i już nieczynne obniżenia wyrobisk, niejednokrotnie wypełnione wodą. Są to różnej wielkości zbiorniki powyrobiskowe na różnym etapie zarastania przez roślinność. Są to przykłady antropogenicznych form rzeźby terenu, modyfikujących naturalną rzeźbę polodowcową (Fot. 3 i 4).

Na zakończenie tej wycieczki po tropach lądolodu na ziemi śremskiej, warto dodać, że wodnolodowcowe piaski i żwiry znajdziemy również w kilku innych miejscach, choć w znacznie mniejszych ilościach. Nieduże powierzchnie pokryte przez piaski i żwiry sandrów otaczają np. stawy koło Dobczyna, znajdujące się w rynnie podlodowcowej sąsiadującej od zachodu z rynną włoskiejewicką. Po zachodniej stronie Śremu, nieduże powierzchnie zajęte przez piaski i żwiry wodnolodowcowe znajdziemy np. w sąsiedztwie Szymanowa i Gaju, gdzie „otulają” one tamtejsze wzniesienia ozów, opisane w innym artykule tego cyklu („GŚ” nr 11-12/2019) lub punktowo na obszarze rozległej wysoczyzny polodowcowej („GŚ” nr 9-10/2020) pomiędzy Błociszewem, a Nochowem i Wyrzeką. Piaski i żwiry naniesione przez wody roztopowe lądolodu po zachodniej stronie Śremu nie utworzyły jednak typowych stożków sandrowych.



Fot. 3. Nieczynne wyrobiska wodnolodowcowych piasków i żwirów koło Włoskiejewic

Jak widać, sandry nie zajmują znacznych powierzchni na ziemi śremskiej, a zdecydowanie najlepiej zostały wykształcone w okolicach Dolska i Włoskiejewic, gdzie 20 000 lat temu zatrzymało się czoło lądolodu, spod którego wypływały potężne rzeki podlodowcowe nioszące olbrzymie ilości piasku i żwiru. Miejscem szczególnym pod tym względem była natomiast okolica Włoskiejewic, gdzie lądolód i jego wody roztopowe pozostawiły po sobie w bezpośrednim sąsiedztwie aż trzy duże i wyraźne formy rzeźby terenu, czyli włoskiejewicką rynnę podlodowcową, wzniesienia moren czołowych rozcięte „bramą włoskiejewicką” oraz sandry, będące tytułowym królestwem piasku i żwiru. To kolejne tropy lądolodu, dzięki którym poznajemy lodowcową historię ziemi śremskiej oraz kunszt rzeźbiarski głównego bohatera tego cyklu artykułów – lądolodu skandynawskiego.

Kolejny artykuł z cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej*, będzie na swój sposób jubileuszowy, gdyż dziesiąty. Będzie to zatem znako-

mita okazja, by w zwarty sposób podsumować najważniejsze wiadomości i ciekawostki z poszczególnych artykułów i na zbiorczej mapie przedstawić wszystkie omówione formy rzeźby polodowcowej – tropy lądolodu na śremskiej ziemi.

Zdjęcia i rysunki Michał Lorenc

Fot. 4. Czynna żwirownia we Włoskiejewicach



Marceli SZCZĘSNY

Transport i komunikacja

SENTYMENTY

Już kiedyś podkreślałem znaczenie, jakie dla rozwoju osiedli ludzkich posiadają naturalne zbiorniki i ciekі wodne: stawy, jeziora a zwłaszcza rzeka. W tych czasach, kiedy nie istniała komunikacja kołowa, jedynie drogi wodne umożliwiały transport większej masy towarowej oraz znaczniejszy ruch pasażerski. Pamiętam jeszcze lata, kiedy na Warcie prawie każdego dnia pojawiały się jakieś większe obiekty pływające: barki (szkuty) oraz tratwy z powiązanych ze sobą pni drzewnych spławianych do tartaku Józefa Łożyńskiego. Wiele uciechy sprawiało nam skanie po tratwie przymocowanej do brzegu w po-

bliżu tartaku. Jednakże śremski transport rzeczny zaczął się dopiero pod koniec ubiegłego wieku, bowiem najpierw należało odpowiednio uregulować Wartę: usunąć młyny wodne i oczyścić koryto. Mały port rzeczny zbudowano na lewym brzegu w pobliżu mostu naprzeciw magazynów zbożowych późniejszej f-my „Spójnia”. Do Śreму przywożono większe ilości towarów jako dostawy hurtowe dla kupców, paszę, nawozy sztuczne i materiały budowlane. W kierunku Poznania spławiano zboże, mąkę, cukier, spirytus, cegłę i drewno budowlane.



Uruchomienie transportu towarowego przy wykorzystaniu drogi wodnej i dzięki użyciu dość prymitywnych środków przewozu nie wymagało większych nakładów, a zaspokajało w znacznym stopniu istniejące potrzeby. Nie załatwiała jednak problemu ruchu pasażerskiego w ogólnym rozumieniu. Toteż nadal mało kto mógł sobie pozwolić na podróż dyliżansem pocztowym, jeżeli w ogóle taki przez daną miejscowość przebiegał. Końmi natomiast, i to niezbyt daleko, mógł jechać tylko posiadacz zaprzęgu. Dopiero uruchomienie linii kolejowej Śrem–Czempiń w 1884 r., a następnie przedłużenie jej w przeciwnym kierunku do Jarocina w 1906 r., pozwoliło ludności mieszkającej w zasięgu tej drogi żelaznej do „wysunięcia nosa” poza swoje gniazdo rodzinne.

W okresie I wojny światowej często jeździłem pociągiem z Chwałkowa do Książa po przydziału kartkowe. W ówczesnym systemie kolejowym istniały cztery klasy wagonów. Śremskie pociągi miały wagony klasy czwartej i jeden klasy trzeciej z przedziałem drugiej. W czwartej klasie siedziało się na ławkach bez oparcia wzdłuż ścian, trzecia klasa miała ławki z oparciem, a w przedziale drugiej były pluszowe kanapy. Do ogrzewania służył żelazny piec, do którego w czasie jazdy dorzucano węgla. Toteż raz było za gorąco, a po jakimś czasie oziębiało się. Szybkość dochodziła do 20 km na godzinę, przystanki bywały dość długie, szczególnie jesienią, kiedy pociąg (osobowo-towarowy) zabierał wagony z produktami rolnymi, głównie burakami cukrowymi. Na temat tej powolnej jazdy krążyła wówczas śmieszna anegdota. Trasa pociągu, jak wiadomo, od Psarskiego biegnie przeważnie szosą. Kiedyś tą drogą szła z tobołkiem na plecach wiejska kobieta. W pewnej chwili mijał ją pociąg z Czempinia. Konduktor zauważywszy kobietę, krzyknął do niej przez okno, ażeby wsiadła. – Nie, nie! Dzisiaj się spieszę. Dziękuję – odpowiedziała.

Powolność ówczesnej kolei, długie postoje na wszystkich przystankach, przesiadka w Czempiniu – wszystko to sprawiało, że podróż do Poznania znacznie się wydłużała, stawała się uciążliwa. Zresztą nie tylko na tej linii. Toteż coraz powszechniej narastała konkurencja autobusów wobec PKP. Pierwszym, który zaryzykował w 1926 r. przetrzeć szlak autobusowy ze Śremu

do Poznania był Stefan Pawlicki, właściciel hurtowni artykułów spożywczych. Jak to zwykle bywa przy wszelkiego rodzaju nowinkach, początkowo dosyć podejrzliwie oglądano autobus, mający miejsce postoju na Rynku przy narożniku ul. Kościuszki. W czasie odjazdu i przyjazdu gromadziła się tam zawsze spora grupa gapiów. Ale powoli przyzwyczajono się do tego pojazdu, który mógł pomieścić około 30 pasażerów i coraz częściej jechał zapełniony. Przejazd do Poznania kosztował 2,50 zł. Po jakimś czasie Ślęzak uruchomił również autobus do Poznania. Nową linię Śrem–Mosina–Poznań otworzyła w 1929 r. F-ma Tobolskiego, ułatwiając w ten sposób komunikację pasażerską Manieczkom, Brodnicy, Żabnu i pobliskim wsiom. Prawdziwy niemal luksus podróżowania, jak na ówczesne możliwości, zapewniła swoim pasażerom F-ma Komunikacji Autobusowej Staniszewskich, która od 1930 r. wprowadziła na trasę przedłużoną do Gostynia piękne, wygodne, długie autobusy marki „Komnik”. Osiem razy dziennie można było dojechać do Poznania i wrócić. W niedziele i święta dodatkowy autobus, zwany teatralnym, wyjeżdżał z Poznania o godzinie 21.45. Zmiany, jakim uległa śremska komunikacja autobusowa, od pojeźdźczego wozu Pawlickiego sprzed 60 lat, najlepiej można odczytać na dzisiejszym dworcu PKS.

„Głos Śremski” Nr 10/1988

Adam LEWANDOWSKI

Fotograf poezji

Warto przypomnieć

Gdy biorę w ręce teksty lub fotografie – mojego przyjaciela – Andrzeja Zbigniewa Waltera, zadaję sobie zawsze pytanie: czy to fotograf poezji, czy poeta fotografii? W toku myślenia powtarzają się dwa słowa: poeta, fotograf. Jedno należy stwierdzić: jest fantastycznym poetą, jak również genialnym fotografem. Czy można być liderem w dwóch dziedzinach? Okazuje się, że jak najbardziej można fotografować świat poezją, jak

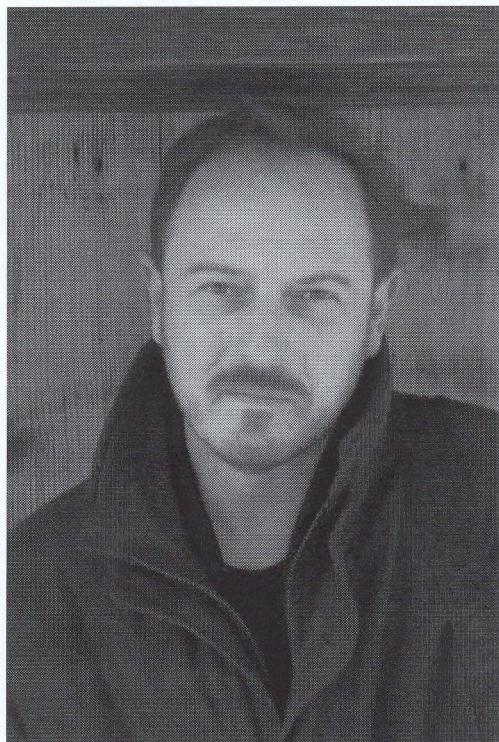
również opisywać świat fotografią. I to znakomicie, z sukcesem, z dozą wizjonerstwa, z twórczym zapałem, poszanowaniem innych.

Walter bywał w Śremie, głównie z okazji kolejnych Międzynarodowych Listopadów Poetyckich. Zawsze z pięknie opracowanym dorobkiem, wyczulony na oczekiwania słuchaczy. Każde spotkanie to niekończące się rozmowy o literaturze, fotografii, życiu codziennym. Sporo rozmów o Związku Literatów Polskich, jego przyszłości, szansach, czy możliwościach. Inne spotkanie to Wieczór Twórczości Andrzeja Waltera w Bibliotece Publicznej w Śremie. Cudowne zdjęcia, okraszane pięknym poetyckim słowem i ogromnym poczuciem odpowiedzialności za literaturę.

Kim jest Andrzej Zbigniew Walter?

Urodził się w 1969 roku, mieszka w Gliwicach. Rodzice pochodzą ze Lwowa. W latach 1984–1988 uczęszczał do I Liceum Ogólnokształcącego w Gliwicach. W 1994 roku ukończył studia na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach. Pracował w banku oraz Polsko-Amerykańskim Funduszu Przedsiębiorczości. Jest doradcą podatkowym. Od ponad 20 lat prowadzi w Gliwicach wraz z żoną Jadwigą Walter kancelarię doradztwa podatkowego.

Debiutował w 2000 roku. Jest autorem ośmiu tomików poezji oraz publikacji krytyczno-literackiej. Jego wiersze zamieszczane są w różnego rodzaju almanachach i antologiach. Publikuje w prasie literackiej oraz na portalach internetowych. Od 2011 roku jest członkiem Związku Literatów Polskich w Krakowie, a od 2015 roku Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich. Od 2019 roku



jest wiceprezesem Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich oraz członkiem Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Związany jest na stałe z portalem literackim pisarze.pl. Od 2013 roku jest członkiem Kapituły Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego o Złotą Różę.

Jest autorem wielu tomów poezji, w których wskrzesza najtajniejsze ludzkie zakamarki, a treści jego tomu *Miłość*, wydanego w 2007 roku mogą być podręcznikiem poetyckim dla wszystkich miłośników poezji. Jego dyscyplina słowa powoduje łatwość poznawczą u czytelników, wzrusza pokłady miłości, czy przyjaźni.

Sztuka

miłość

mowa gestu

przejrzystość kontaktu

szczerłość esencji

to próba czekania

w próbie cierpliwości

to wszystko we wszystkim

poprzez wszystko

to ideał

ponad ideały

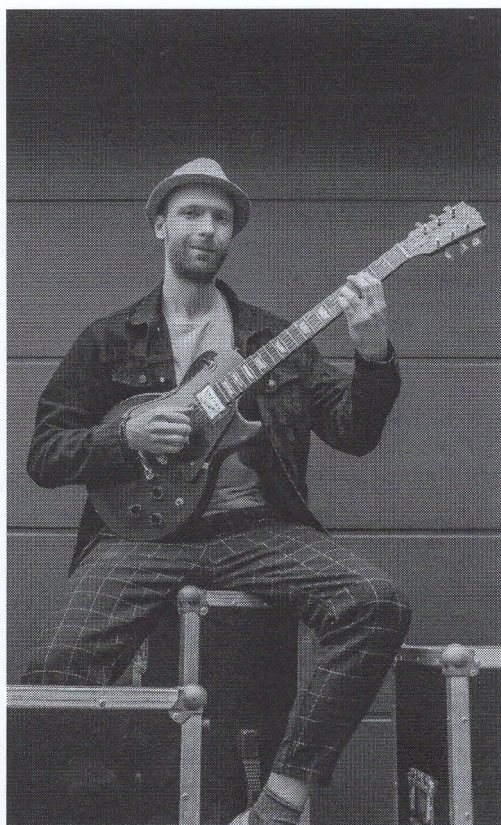
oraz sztuka zaprzeczania

prawom fizyki

O jego twórczości poetyckiej wypowiadała się w 2007 roku krakowska poetka Anna Kajtochowa: „Możemy dostrzec dbałość o formę. Wyraża się ona doborem między innymi takich środków artystycznych jak nośna, kontrastująca metafora, przejrzysta kompozycja, przekonująca puenta”.

Jest fotografikiem niezależnym i niezrzeszonym. W 2000 roku uzyskał Dyplom Jakości Nowojorskiego Instytutu Fotografii. W roku 2001 otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie wydawnictwa Serbin Communications oraz czasopisma „Photographer's Forum” (USA). Wydał dwa albumy poetycko-fotograficzne: *Paryż* (2003) i *Miłość* (2007), a w 2004 roku *Nastroje* (wydawnictwo Galaktyka) z jego fotografiami i wyborem wierszy prof. Jerzego Poradeckiego. Uczestniczył w wystawach autorskich i zbiorowych. Swoje prace publikował m.in. w katalogu kolekcjonerów sztuki „Black & White Magazine” (USA). Warte podkreślenia są dwa wydawnictwa łączące poezję i fotografię – rzecz rzadko spotykana i przedniej jakości.

NASZTALENT : Maciej Skrzypczak



MACIEJ SKRZYP CZAK

Rocznik 1993. Absolwent śremskiego LO oraz kierunku Automatyka i Robotyka Politechniki Poznańskiej. Mieszka w Zbrudzewie, pracuje w Poznaniu. Gitarzysta w zespole Korek i Roxana Tutaj&Good Omen.

Zacząłem „grać” w 2006 roku. Pewnego dnia wygrzebałem starą akustyczną gitarę, na której kiedyś grywał ojciec. On też pokazał mi kilka podstawowych chwytów. Dalej ćwiczyłem już sam. Wcześniej w ogóle nie myślałem o graniu na gitarze. Moja pierwsza styczność z instrumentem zbiegła się mniej więcej z momentem, w którym zacząłem świadomie słuchać muzyki. Na bieżąco uczyłem się zatem kolejnych utworów, które odkrywałem i które mi się podobały. Odkryłem satysfakcję jaką przynosi nauczenie się nowego „kawałka” po wielu godzinach ćwiczeń! W międzyczasie rodzice, dostrzegając, że złapałem „bakcyła”, kupili mi nową, lepszą gitarę akustyczną. Szybko jednak okazało się, że muzyka, której słucham, opiera się głównie na gitarze elektrycznej i bez niej nigdy nie osiągnę takiego brzmienia. Po około roku oszczędzania kupiłem nową gitarę, co na dobre rozpoczęło trwającą do dziś przygodę z instrumentem. Obecnie posiadam dwie gitary elektryczne: Gibson Les Paul Studio z 2009 roku oraz Haar S-Type, i akustyczną Dowień DCE555.

Jako 12-13-latek słuchałem dużo muzyki z gatunku określanego jako kalifornijski punk. Moim ulubionym przedstawicielem gatunku była grupa The Offspring, do której do dziś mam duży sentyment. Następnie pojawili się giganci klasyki rocka jak Led Zeppelin, Deep Purple czy Pink Floyd. Dziś „potomkiem” tych zespołów jest grupa Rival Sons, którą bardzo cenię. W międzyczasie zacząłem też słuchać bluesa, co prawdopodobnie odcisnęło piętno na mojej grze i rozwinęło moje umiejętności improwizowania. W tej chwili tak naprawdę słucham i czerpię inspirację z bardzo różnej muzyki: pop, funk, soul, jazz, grunge, muzyka klasyczna.

Pierwszym idolem był Jimmy Page. Następnie pojawił się Gary Moore, a także gitarzyści młodszej generacji jak John Mayer czy Joe Bonamassa. Oprócz tego David Gilmour, Eric Clapton, Jimi Hendrix, Joe Satriani, Slash, Tom Morello, Josh Homme, Andy Timmons, John Scofield. Mógłbym tak wymieniać jeszcze długo. Każdy z nich na swój sposób mnie zainspirował. Z polskich gitarzystów najbardziej podobają mi się Marek Raduli oraz Jan Borysewicz.

Na początku próbowałem naśladować ich styl, a z czasem na bazie tych wszystkich wpływów zacząłem dążyć do kształtowania swojego własnego brzmienia. Zawsze podobała mi się również perkusja, na której od czasu do czasu, kiedy nikt nie widzi, próbuję sobie pogrywać. Ostatnio zakupiłem również oprogramowanie, które otwiera mi możliwości komponowania przy użyciu symulacji.

Gram w dwóch zespołach – śremskim Korku i śremsko-poznańskim Roxana Tutaj & Good Omen. Od czasu do czasu zdarzają się też poboczne projekty – w tym roku moje solówki znalazły się na najnowszej płycie Lecha Nawrockiego *Bezdroża nadziei*.

Z zespołem Roxana Tutaj & Good Omen regularnie bierzemy udział w ogólnopolskich przeglądach i festiwalach, czasem zdobywamy nagrody. W ostatnich tygodniach zajęliśmy pierwsze miejsce na festiwalu „Żubrowisko” w Pszczynie oraz zdobyliśmy nagrody burmistrza i Fanclubu zespołu Republika na Festiwalu im. Grzegorza Ciechowskiego w Tczewie. Jeśli chodzi o wyróżnienia indywidualne to w zeszłym roku na przeglądzie zespołów bluesowych w Ścinawie udało mi się „zgarnąć” nagrodę dla najlepszego gitarzysty.

A co oprócz grania... Lubię pójść na dobry koncert. Lubię też dobre seriale. Jako kibic interesuję się piłką nożną – dla zabawy obstawiam nawet czasem jakieś zakłady bukmacherskie. Słucham audiobooków – w porównaniu do tradycyjnej książki mają tę zaletę, że można w tym czasie robić jeszcze coś innego. Najczęściej wybieram te z zakresu rozwoju osobistego lub literatury faktu. Lubię też pójść na basen lub siłownię. Z racji

pandemii teraz możliwości są ograniczone, więc chwilowo pozostają mi spacer z psem. Choć nie czuję się w tym mistrzem, lubię także przygotować coś w kuchni – najwięcej frajdy sprawia mi kuchnia włoska – pizze i zapiekanki makaronowe. Mam też w planach kilka weekendowych wycieczek, w stylu city-break, ale muszę z tym poczekać aż uspokoi się sytuacja z wirusem.

Muzyka jest dla mnie pasją i nieodłącznym elementem mojego życia, który przynosi mi dużo satysfakcji, a jednocześnie motywuje do dalszego rozwoju i działania. Wiele z moich najlepszych przeżyć wiąże się z graniem na gitarze lub muzyką ogólnie.

Jestem... specyficznym połączeniem artystycznej duszy i technicznego umysłu.

Chciałbym... pojechać w trasę koncertową po całym świecie.

Myślę o... odwiedzeniu kilku nowych miejsc – obecnie na szczycie listy jest Rzym, Londyn, Nowy Jork.

Inspiruje mnie... oglądanie muzyków „w akcji”.

Potrafię... postawić się w sytuacji drugiego człowieka i zrozumieć jego punkt widzenia.

Lubię... długie spacer z psem po lesie.

Muszę... wrócić do uprawiania aktywności fizycznych.

Żałuję... tego, że zbyt dużo czasu poświęcałem kiedyś na gry komputerowe.

Macieja Skrzypczaka
wystuchala Ewa Nowak
Fot. Z. Chałupniczak

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

JAKUB TYŁMAN

Menadżer oświaty. Pedagog. Oligofenopedagog. Specjalista terapii rodzin. Animator. Pasjonat kulinarny. Smakosz. Autor książeczek dla dzieci. Organizator licznych akcji społecznych, wydarzeń kulturalnych i festynów.

1 Kim jestem...

Kreatywnym malarzem dziecięcych marzeń, dążę do tego by wszystko co sobie „wymyślę” – zaplanuję, było zrealizowane. Zdecydowanie jestem twórcą.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Grono najbliższych przyjaciół, którzy nigdy mnie nie zawiodą i są pomocni w każdej sytuacji i o każdej porze.

3 W czym jestem dobry...

Na pewno radzę sobie z organizacją pracy, jestem pomysłowy i przedsiębiorczy.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Do tej pory osiągnąłem to, co sobie zaplanowałem. Wychodzę z założenia, że nie ma rzeczy niemożliwych.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Chciałbym nie być tak uparty i chciałbym schudnąć 15 kg.

6 Co daje mi szczęście...

Każdy dzień, poranek kiedy budzę się z głową pełną pomysłów.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Każdy, który pozwala mi realizować się.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

To że są dyspozycyjni, niezawodni i bardzo pomocni.

Bohaterstwo to dla mnie...

Iść pod prąd i pod wiatr, gdy inni idą w przeciwną stronę.

Epoka, w której chciałbym żyć...

Lubię swoje życie tu i teraz.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Gdyby jutra miało nie być.

Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Marzenia i wspomnienia.

Moja największa wada...

Bezkompromisowość.

Główna cecha charakteru...

Chyba jestem kreatywny.

Moje motto życiowe...

Żyj chwilą, która trwa.

Ulubiony dźwięk...

Dźwięki muzyki – nastrajają dodają energii i porabiają humor.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Narzekań, marudzenie innych ludzi.

Nie mógłbym żyć bez...

Telefonu.

Co wzbudza we mnie lęk...

Ciemność.

Moje ukryte marzenie...

Jak ukryte to nie będę zdradzał.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Chciałbym umieć latać.

Zawsze śmiesz mnie...

Fajny program w tv lub film w kinie.

Słowo, którego nadużywam...

No raczej.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Nie interesuje mnie zdanie innych na mój temat...

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Po burzy zawsze wychodzi słońce.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Kłamstwa.

Wolność to dla mnie...

Całe życie, prawo wyboru, decydowania o sobie i podążanie za swoimi marzeniami.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

Lekarzem.

Obecny stan mojego umysłu...

Chciałbym normalności takie zwykłej, życia jak kiedyś, w wolnym kraju...

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Dobrym człowiekiem.

Marta TOK

Na ostro

Opowiadanie

Chili con carne

Bierzesz cebulę, zmieloną wołowinę, puszkę czerwonej fasoli, pięknie pachnące pomidory obrane ze skórki, pikantne świeże chili, pieprz, czosnek imbir, paprykę i kolendrę w proszku. Zaczynasz smażenie mięsa i cebuli, potem stopniowo dodajesz pomidory, cały czas mieszając, by nie robiły się grudki, na koniec wrzucasz odcedzoną fasolę, dobrze przyprawiasz pieprzem i solą, po czym jeszcze dziesięć minut gotujesz na małym ogniu. I dodajesz chili. Musi być bardzo pikantne.

W dniu, w którym Joanna dowiedziała się, że Adam przyjdzie na kolację, wszystko w niej zamarło ze strachu i podniecenia. I trwała w tym stanie podczas gotowania chili con carne, nakrywania do stołu białym lnianym obrusem, swoją najlepszą porcelaną i szkłem, do których miała słabość, aż do momentu, kiedy, skończywszy przygotowania, nalała sobie kieliszek Côtes du Rhône i usiadła w fotelu, by czekać.

Adam był przystojnym miłym mężczyzną z seksownym błyskiem w oczach. Właściwie to emanowała z niego wszechogarniająca gotowość erotyczna, którą każdy interpretował, jak chciał. Kiedy tylko pojawiał się na salonach, natychmiast powietrze stawało się bardziej wibrujące, a rozmowy bardziej podekscytowane. Najpierw zapalały się kobiety, potem, pod wpływem ich ożywionej paplaniny, także mężczyźni.

Joanna spotkała go krótko po tym, jak przeprowadziła się do miasteczka z Warszawy. Był zaprzyjaźniony z jej szefem, widywali się od czasu do czasu na różnych imprezach towarzysko-kulturalnych, które organizowała jej firma bądź miejski ośrodek kultury. Zawsze znalazł chwilę, by z nią zamienić słowo. Wydawał się jej kimś

bardzo interesującym, dlatego trochę się zdziwiła, gdy odkryła, co robi. Prowadził wraz z żoną trafikę na rogu dwóch głównych ulic, właściwie był to sklepik z papierosami i całą resztą – gazetami, batonikami, dropsami, gumami do żucia, a także pachnącymi mydełkami i jednorazowymi golarkami, chusteczkami do nosa, zdrapkami i loterią narodową. Tak zwane mydło i powidło. Wszyscy tam zachodzili, niektórzy nawet codziennie. Sklep prowadziła właściwie ona, żona Adama, zaś on tam tylko stał. Z założonymi rękoma przyglądał się ulicy poprzez zastawione towarem okno i gawędził z klientami. Znał wszystkich i wszyscy znali jego. No i wiedział masę rzeczy. Kto u kogo pracuje, kto kupił nieruchomości i za ile, kto z kim przestał się kolegować i dlaczego... Czy to były prawdziwe informacje? Może trochę przesadzone, odrobinę zmyślane, ale ludzie lubili sobie poplotkować i lubili Adama, mężczyźni z większą rezerwą, kobiety bardziej. Od czasu do czasu Adam znikał z horyzontu i mówiło się, że wyjechał w interesach. Jakie to były biznesy, nikt raczej nie wiedział, ale chyba nieźle, sądząc po parkującym przed trafiką mercedesem klasy E. Sklepik czynny był od siódmej do siódmej przez wszystkie dni tygodnia i na ogół obsługiwała klientów spokojna, uśmiechnięta żona Adama, ale w piątki i soboty wieczorem za ladą stawał on sam. Joanna przekonała się o tym, kiedy ponownie zaczęła palić, i po zrobieniu w niedalekiej winiarni zakupów na weekend, systematycznie wpadała do trafiki po fajki. To dopiero wtedy uległa czarowi Adama. Zadawał jej jakieś powierzchowne pytanie, na przykład o wino, które miała w ręce, po czym z uśmiechem, przeszywając ją wzrokiem, bardzo uważnie słuchał odpowiedzi. Początkowo czuła się niepewnie, z czasem jednak przywykła, a nawet polubiła

te ich krótkie spotkania. Adam był pięknie zbudowanym, wysokim i muskularnym mężczyzną, mimo zbliżającej się pięćdziesiątki zachował młodą sylwetkę. Lubiła patrzeć na jego ogorzałą, przystojną twarz, na tworzące się wokół oczu zmarszczki, kiedy tajemniczo się do niej uśmiechał, a szczególnie była mu wdzięczna za uwagę, z jaką słuchał jej chaotycznych opowieści, od czasu do czasu wtrącając drobne spostrzeżenia. Ich rozmowy zaczęły stawać się coraz bardziej intensywne, od czasu, kiedy odważyła się patrzeć mu prosto w oczy. Jego komentarze były teraz bardziej osobiste, nie dotyczyły tylko błahych historyjek, które opowiadała, ale jej samej bezpośrednio.

– No, tak, bardzo inteligentna argumentacja, mówił, gdy relacjonowała mu spotkanie z prawnikiem. Albo – och, pani Joasiu, nie dziwię mu się, że chciałby z panią spędzać jak najwięcej czasu... kiedy narzekała, że szef zatrzymał ją na rozmowę po pracy. – Ależ Joanno, któż sobie poradzi lepiej, jeśli nie taka silna kobieta, jak pani... – rzucił, gdy napomknęła o swoich początkowych trudnościach z adaptacją w nowym miejscu. Brzmiało to, jakby ją poznał na wylot i podziwiał bez zastrzeżeń, a akurat tego Joanna teraz naprawdę potrzebowała. No dobrze, wiedziała, że to bajery na poziomie stokrotek, ale cóż, była samotna już od wielu miesięcy, jej ego po ciężkim rozstaniu mocno obite, a zmarszczki wokół jego szarych oczu, wyglądały tak ładnie, kiedy uśmiechał się do niej miło i uważnie na nią patrzył. Pewnego razu, przyszła do trafiki po degustacji w winiarni, lekko podchmielona. Nikogo w sklepie nie było i mogła bez przeszkód rozmawiać z Adamem. Odważyła się zadać mu kilka osobistych pytań, na które, z lekkim, ale uroczym – wydawało jej się – ociąganiem odpowiadał, co chwilę jednak

wracając do jej osoby. Tak, utknął w tym miejscu trochę, po studiach, to żona lubi tę małomiasteczkową stabilizację, on chętnie by się stąd wyrwał, wypłynął na szerokie wody. Tak mu się podoba, że Joanna zmieniła całkowicie swoje życie, podziwiał odwagę, z którą zdecydowała się zamieszkać na prowincji, ona, kobieta z dużego miasta. Tak, tak to widać od razu... wyróżnia się z tłumu, fryzura, strój, to zdecydowane spojrzenie... Od razu ją zauważył na ulicy, kiedy przechodziła. Zauważył i zapamiętał. Joanna była oszołomiona ciepłym tembrem głosu Adama, jego komplementami i intensywnym spojrzeniem, którym, miała wrażenie, wprost ją rozbierał. Kiedy wydawał jej resztę i ich palce zetknęły się na sekundę, poczuła ciepły prąd przesywający ją od głowy po brzuch. No i już wiedziała, stało się. Zakochała się w Adamie prowadzącym trafikę w miasteczku.

Nie mogła doczekać się kolejnego piątku. Adam wprawdzie zachowywał się, tak, jak zwykle, ale jej mocno bijące serce, kazało jej wierzyć we wzajemność. Tym bardziej, że wkrótce potem, niby przypadkowo, podsunął jej leżącą na ladzie ulotkę zapraszającą na świętojańską imprezę w sanatorium w sąsiedniej miejscowości. Z tańcami, obiecywał anons. – A pan się wybiera? – spytała lekko. – Jak ty tam będziesz, to na pewno przyjdę, odparł głębokim głosem, z nonszalancją przechodząc na ty. Spodobało jej się to.

Przyszedł sam i tańczył z sobą prawie cały wieczór. Przy wolnych kawałkach, przyciśnięci do siebie ciało w ciało, patrzyli sobie prosto w oczy, on, przewyższający ją o ponad głowę, ona filigranowa, niewysoka mimo szpilek, które włożyła wyjątkowo na tę okazję. Nie obchodziło ją, czy ktoś na nich patrzy, czy nie. Trzymał ją mocno i pewnie dużymi dłońmi i naprawdę świetnie tań-

czył. Momentami czuła jak ociera się o nią i kręciło jej się w głowie od pożądania. Nie mówili zbyt wiele. I tak było dobrze.

Pożegnali się nagle, kiedy Adam odebrał jakiś telefon. Muszę już iść... powiedział ze smutkiem, a ją zalała fala zawodu. – A może wpadniesz jutro do mnie? – wyrzuciła z siebie, nie wierząc, że to właśnie mówi... Jutro nie – odparł zamyślony. Wróć dopiero w sobotę. O której? Późno, około dwudziestej... – To zapraszam na kolację. Będę czekała. Wiesz, gdzie mieszkam... Rzucił jej ten swój śliczny uśmiech, mocno ścisnął rękę i wyszedł. Nieoczekiwanie zespół zaczął katować *Czerwony jak cegła* Dżemu, roześmiała się w duchu z głupiego zbiegu okoliczności i po chwili wyszła.

A teraz on miał być u niej... Było już po dziewiątej. Założyła seksowną bieliznę kupioną niegdyś w Paryżu, atłasową czarną sukienkę z dużym dekoltem, zrobiła lekki makijaż, a nawet pomalowała na czerwono paznokcie. U rąk i stóp. Trwające od wielu godzin oczekiwanie sprawiło, że praktycznie drżała. Nasłuchiwała kroków, patrząc niecierpliwie na zegarek. Była już przy drugiej lampce wina, a Adam nie nadchodził. Żołądek skurczył jej się boleśnie na myśl, że nie przyjdzie wcale. Nie zniósłaby kolejnego takiego oczekiwania.

Dzwonek telefonu rozległ się tak nagle, że drgnęła. Bez namysłu odebrała. To była Beata, koleżanka z poprzedniego życia.

– No, jak się masz? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Właściwie dzwonię, bo zobaczyłam coś śmiesznego, tu u nas w Warszawie i pomyślałam o tobie.

– Beatko, nie mogę teraz rozmawiać, – powiedziała niepewnym głosem Joanna.

– Acha, ok, to nie będę przeszkadzać, zadzwonię

innym razem. Tylko ci powiem szybko, wiesz, kogo widziałam dzisiaj w centrum miasta? Na parady gejów?! Tego waszego przystojniaka z trafiki! I w dodatku na onecie teraz go pokazują, sama nie wiem, może to nie on...

– No gdzie... na pewno nie on, – zachnęła się Joanna.

...Migawka trwała tylko kilka sekund, ale nie było wątpliwości. To Adam. Jego piękne muskularne ciało oblekał biały obcisły t-shirt, prawą ręką przyciskał do siebie ogolonego, na w pół gołego chłopaka w typie Freddy’ego Merkury’ego, szli w tłumie pod tęczowymi flagami. Jak zwykle uśmiechał się tajemniczo.

Joanna siedziała długo bez ruchu w fotelu wpatrując się w oświetlone latarniami drzewa za oknem. Czuła się, jakby uszło z niej kompletnie powietrze. Prawie nie oddychała. Straszne, fizyczne wręcz rozczarowanie wypełniało ją po czubki palców.

Kiedy wreszcie wstała, poszła do kuchni, chwyciła ciężki żelazny garnek i chciała całe swoje chili con carne wyrzucić do kubła... Ale coś ją powstrzymało. A co tam, pomyślała. Nie będę z powodu palanta marnować jedzenia. Podzieliła potrawę na trzy mniejsze porcje i włożyła do szuflady.

Obok wsunęła swoje płonne nadzieje i palące pożądanie. A potem mocno zatrasnęła drzwi zamrażarki.

Leszek MAŃKOWSKI

Walizka

Jestem, więc pytam

Zwolennicy kreacjonizmu znajdują argumenty przeczące ewolucji biologicznej. Czy można jednak z takim samym przekonaniem zapewniać, że nie następują systematyczne zmiany – ewolucyjne, czy wręcz rewolucyjne – w życiu ludzi, społeczeństw? Świat się zmienia, zmieniają się ludzkie obyczaje i społeczne uwarunkowania. Na nowo interpretowane są normy moralne, etyczne, religijne. Niektóre uświęcone tradycje zanikają, inne są modyfikowane. Rzeczywistość, którą znamy z dzieciństwa, z lat młodości – już odeszła. I nie wróci.

Ludzie odchodzą, przychodzą nowi. Kolejne pokolenia wnoszą nowe treści, nowe formy. Następcy chcą urządzać świat według własnych reguł. Mniej więcej co ćwierć wieku objawia się bunt wchodzących w dorosłe życie młodych ludzi niezadowolonych z zastanej rzeczywistości. Protestują przeciw nieprzystającym już do zmieniającego się świata normom, zakazom, nakazom. Przeciw skostniałej hierarchii życia politycznego, społecznego, religijnego. Przeciw obwinianym za niechciane porządki starszym pokoleniom. Efektem buntów młodych mogą być zmiany (czasem rewolucje) polityczne, społeczne i/lub obyczajowe, a wraz z nimi – wymiany pokoleniowe.

„Pora się pakować, skończył się wasz czas”. To hasło, napisane na kartonie, niesione podczas protestacyjnych „spacerów” strajku kobiet. Wyraża ono życiową prawdę dobitniej, paradoksalnie, od tych napisanych z użyciem gwiazdek. Można bowiem twierdzić, że propozycja pakowania się adresowana jest do grona wybrańców narodu, do tych mieniących się sprawiedliwymi i prawymi posiadaczami oraz dysponentami prawdy. Ale, czy „dziadersami”, którzy powinni

czmychać chyżo, są tylko ci „oni”? Czy nie należy takiego wezwania odnieść do całego pokolenia baby boomers? Pokolenia, którego czas nieuchronnie, naturalnie się kończy? Mojego pokolenia...

Mój czas się kończy. Czy chcę, czy nie chcę. Czasy się zmieniły, bardzo się zmieniły. Młodzi inaczej (lepiej?) myślą, szybciej działają. Nie mają tego naszego, PRL-owskiego bagażu.

Stare musi obumrzeć, aby nowe się narodziło. „Nikt nie wlewa młodego wina do starych bukłaków. W przeciwnym wypadku wino rozerwie bukłaki: wino się marnuje i bukłaki. Lecz młode wino – do nowych bukłaków”. (Mk 2,22).

Młodzi, jak zawsze, szukają własnej drogi. Nie lubią uczyć się na błędach starszych pokoleń, wolą ryzykować i popełniać błędy własne. Mimo wszystko jest to wartość. Szukanie drogi wymaga myślenia – warto być człowiekiem myślącym. Mamy im dyktować, jak mają żyć? Czy oni tego oczekują? Czy uważają, że to im potrzebne?

Tak, pora się pakować. Pora, niezależnie od tego, czy tylko ukończyłem etap, czy może już jestem na finiszu rajdu...

Etap. Początek nowej drogi. Kolejne zadania – dostosowane do wieku, możliwości. Czy warto poświęcić się narzekaniom? Dzisiejszy świat jest zły, bo kiedyś...? Jak świat światem starzy narzekali na młodzię, młodzi negowali stare porządki. To normalne. Zapomniał wół...? Zrósł się ze stołkiem? Uzna prawo młodszych do sukcesji? Niby proste. Komplikuje się, gdy zaczyna się spełniać... No, i mamy emerytowanych zbawców narodu, wszelkiego sortu nieusuwalnych i nieza-

stąpionych. Żyją oni w swoim, naftalinowym świecie; mają za złe czasowi, że płynie.

Po raz kolejny stanęli w miejscu starzy rewolucjoniści. Znowu nie zauważyli, że nowe pokolenie ma swój czas, swoje potrzeby, swoje idee? A jeśli to nie jest początek nowego etapu, lecz – zbliża się koniec rajdu? Jeżeli koniec ma być, definitywny i ostateczny, to: tylko spokojnie (w miarę) dożywać swych dni? Nie mieć już nic do powiedzenia, do działania?

Czy ziemski koniec jest przejściem do lepszego świata, czy początkiem niebytu – dokonuje się obrachunku. Obojętnie, czy dla uzyskania wstępu do raju i pozostawienia dobrej pamięci, czy tylko dla tego drugiego powodu – próbuje się poprawić saldo.

Walizka spakowana. Co zawiera? To, co potrzebne w nowym etapie życia? To, co chcę pozostawić, przekazać potomnym? Dorobek, dzieła wybrane (bo nie wszystkie)? Pozostawić po so-

Fot. Jakub Sobkowiak



bie... Co, dla kogo, w jakim celu? Co chcemy pozostawić?

Co zostawiamy w życiu społecznym? Obalenie komuny, odzyskanie wolności? Pomniki naszych bohaterów? Zwycięską walkę o demokrację, kombatanctwo, pobladłe sztandary? A może niezakończone bitwy, licytacje na zasługi, podziaty? Celebracje zwycięstw i narodowych klęsk? Z czym młodzi mogą kojarzyć tę naszą sentymentalną pannę „S”? Co się ostanie, co przeważy – opowieść o „człowieku z żelaza” czy o „dwóch takich”? Wypadek czy zamach, mądry kompromis czy zdrada? A – czy ich, młodych będzie to interesować? Będą stale czcić kombatanów? Czy zechcą znaleźć swoje miejsce? Które z pomników obalą? Od nowa napiszą naszą historię? Może potraktują to, co ważne dla nas, jak zeszłoroczny śnieg? Przecież będą mieli swoje spory, swoje wojenki, swoje życiowe problemy.

Czasy się zmieniły, bardzo się zmieniły. To, co my uznajemy za wielki sukces, dla nich jest normalne – naszych czasów nie znają. Nie czują się w obowiązku stałego czczenia, wielbienia dzieła ojców. Chcą uznania prawa do własnego życia. Chcą po swojemu meblować ten nasz dom. Uznajemy to prawo, ich prawo?

Wysyłają na aut „dziadersów”, mają dość tego, co im po sobie pozostawiamy. Okaleczona planeta. Zepsuta demokracja, połamana konstytucja, deptane ludzkie prawa. Irracjonalne poczucie narodowej wielkości i wyjątkowości, narodowego wybraństwa. Klerikalizm i „janipawlenie”. Maski hipokryzji państwowych i kościelnych, wzajemnie zblatowanych, władz. A do tego pełen zestaw społecznych i narodowych wad, i „łóże

Prokrusta”. To, właśnie to widzą wyraźnie.

Nie wszyscy muszą iść przez życie lewą bądź prawą stroną. Niektórzy chcą iść środkiem. Być niczym i mieć własne zdanie, narzucone przez własny rozum i sumienie, nie zaś z góry, przez obowiązującą ideologię. Czy to do nas dociera?

Non omnis moriar? Co pozostawić, co utrwalić? Nie doczekam się przecież marmurowej tablicy upamiętniającej mój pobyt w świątyni... Co mogę przekazać innym – ku nauce życia, ku przestrodze? Co spalić, a co zabrać ze sobą? Da się wygumkować to niechlubne? Ktoś zechce skorzystać z mego „dorobku”?

„Syn – minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku...”¹
Może „chociaż” tyle?

czy chcę czy nie chcę
późno już
wyznaczać górnotłone cele
ja niepokorny...?
spokorniały
cóż
i nie żał nic
i żał tak wiele²

Mogę coś zabrać? Przenieść na tamtą stronę lub zabrać do grobu? Nie, nie wezmę ze sobą walizki pełnej dobrych rad, wskazówek, map drogowych.

A może jednak zabiorę pełną walizkę – do zważenia. Wejściówka czy wilczy bilet?

PRZYPISY

¹ Cyprian Norwid, *Vade-mecum*.

² Czesław Niemen, *Spodchmurykapelusza*.

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Potwory i buntowniczk

Z górnej półki

Testamenty Margaret Atwood, napisana po trzydziestu latach kontynuacja *Opowieści Podręcznej*, otrzymała w tym roku najważniejszą brytyjską nagrodę literacką dla książki anglojęzycznej. Czy zasłużenie? Na pewno Margaret Atwood jest jedną z najlepszych pisarek naszych czasów, Wielką Pominiełą przy rozdawaniu literackich Nobli i można tylko podziwiać lekkość, z jaką tworzy dystopijny świat i zaangażowane bohaterki. Jednak odniosłam wrażenie, że książka została napisana trochę na zamówienie tysięcy odbiorców niesamowicie popularnego serialu Netflix o *Podręcznej*, według książki Atwood. Zresztą w posłowniu autorka poniekąd coś takiego sugeruje. To tłumaczyłoby rozbudowany wątek sensacyjny i mechanizm powolnego rozwiązywania tajemnicy, który na koniec przyspiesza, jak w świetnym filmowym thrillerze. Czyta się to naprawdę dobrze.

Jesteśmy ponownie w Gileadzie, państwie po rewolucji, w którym władzę absolutną zdobyli mężczyźni, spychając kobiety na margines, przeznaczając im wyłącznie rolę Żon lub Podręcznych – niewolnic desygnowanych do rodzenia dzieci starszym panom, a także służących, zwanych Martami i fanatycznych służek reżimu tzw. Ciotek.

Kobiety z ludu pracują fizycznie, kobiety z warstw wyższych, z domów Komendantów i innych potrzebnych reżimowi prominentów – lekarzy, inżynierów itp., chodzą do szkoły dla przyszłych Żon, do złudzenia przypominającej pensję dla panien z *Emancypantek* Prusa. Mają zajęcia z haftu krzyżkowego, układania kwiatów, serwowania herbaty, oczywiście religii, natomiast nie uczą się czytania i pisania. Szyldy sklepów

w Gileadzie, dla wygody kobiet usługujących mężczyznom, są obrazkowe. Książki, przedstawiane uczennicom wyłącznie jako źródło zła i grzechu, posiadają nieliczni mężczyźni stojący wysoko w strukturze państwa, ale też zgromadzono je w Bibliotece Narodowej, pilnowanej przez stojących na straży systemu, zakon Ciotek. I tylko one, spośród wszystkich kobiet Gileadu, mają prawo do edukacji, nauki pisania, czytania i geografii. No i oczywiście, to w ich gronie zaczyna kiełkować bunt. Przyczyni się do niej głównie determinacja jednej z przywódczyń zakonu, byłej prominentnej prawniczki z czasów, kiedy jeszcze kobiety mogły zajmować wysokie stanowiska w hierarchii społecznej. Ale także nie sposób już zatrzymać rozbudzonych edukacją młodych dziewczyn.

Powieść toczy się trzema torami, za sprawą trzech narratorek: Agnes Jemimy, szykowanej, jak jagniątko na rzeź, na przyszlą Żonę, Daisy, młodszej od niej o kilka lat zbuntowanej nastolatki z sąsiedniej „normalnej” Kanady oraz pewnej Ważnej Ciotki, dzięki której poznajemy historię reżimu i mechanizmy, które nim rządzą. Wszystkie trzy narracje toczą się niezwykle wartko, pełne są tajemnic i zwrotów akcji. Mnie nade wszystko podobała się mistrzowska, wiarygodna charakterystyka postaci. Szczególnie ciekawie wypada porównanie wychowanej na współczesny, znany nam, „luzacki” sposób, pyskatej nastolatki z Kanady – do panienki z Gileadu, skrupowanej całkowicie patriarchalnym sposobem myślenia w dziewiętnastowiecznym stylu. Jedna jest nieokiełznana, niezależna i ordynarna, druga powściągliwa, delikatna i do przesady grzeczna, ale to właśnie ona w decydującym momencie znajduje w sobie dość siły i determinacji, by uratować drugą.

Pamiętam czasy, kiedy jako bardzo młode dziewczyny, miłośniczki Prusa i świata pełnego zubożałych arystokratek, czekających na „wybawiciela” w rodzaju Wokulskiego, nie uważałyśmy wcale, że rozwiązywanie problemów rodziny za pomocą panny na wydaniu, było czymś całkiem haniebnym. Panowało powszechne przekonanie, że owszem, studia, kariera zawodowa są ok, ale przeznaczeniem kobiety jest związek z facetem i urodzenie dzieci, dopiero to daje pełnię szczęścia. Kobieta bez mężczyzny, tak zwana „stara panna”, była przez innych, ale też często przez samą siebie, uważana za wybrakowaną...

Prawdopodobnie bardzo to się zmieniło i sporo współczesnych młodych kobiet chce inwestować przede wszystkim w siebie i zaspokajać swoje potrzeby i ambicje, odkładając na później poważne związki i życie rodzinne. To właśnie one wychodzą teraz wściekle na ulice w przekonaniu, że Gilead znowu chce im odebrać ich wolność. Jednak unoszące się nad naszym katolickim społeczeństwem miazmaty patriarchy, mają się jeszcze bardzo dobrze i nie jest to stanowisko wszystkich młodych kobiet. Przypuszczam, że Atwood napisała swoją nową książkę dla jednych i drugich. Swojego rodzaju testament właśnie.

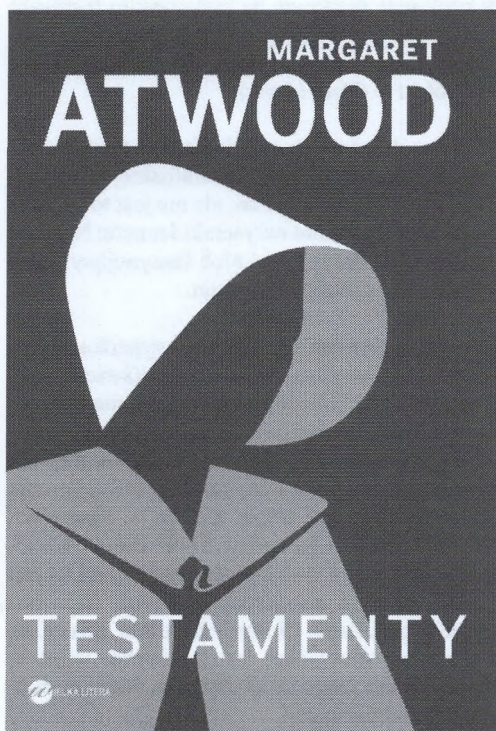
Mężczyźni w republice Gileadu, to po prostu potwory. Dziady lub pryszczaci młodzieńcy, nieatrakcyjni, budzący strach i obrzydzenie. Pedofile lub bezduszni, ciągle nieobecni ojcowie czy też Strażnicy – bezmózgie, brutalne maszyny do zabijania i wykonywania rozkazów. Tak naprawdę jedynym mężczyzną, którego poznajemy bliżej jest główny przywódca, Komendant Judd, przerażający, jak wynika z opisu trzynastolatki, którą zamierza poślubić, gruby, czerwony na twarzy satyr o cuchnącym oddechu, jak reszta przekonany o swojej wyższości. No, wszyscy, bez wyjątku, potwory... Oprócz kilku Kanadyjczyków z organizacji pozarządowych, którzy na szczęście ratują honor rodzaju męskiego. Ale trudno się dziwić: w świecie, który zalała fala ostrego protestu w rodzaju MeToo, sprawiając, że król okazał się nagi, rola mężczyzn w społeczeństwie ucierpiała.

W dniu premiery książki Margaret Atwood miała powiedzieć, że do napisania powieści skłonił ją fakt, że „zaczęliśmy zbliżać się do Gileadu, za-

miast się od niego oddalać”. No nie wiem... Być może Gilead jeszcze trochę porządzi w nas, wokół nas, ale już niedługo.

Wiosna będzie nasza.

Margaret Atwood *Testamenty*,
przekład Paweł Lupszyc,
wyd. Wielka Litera, 2020



Joanna CHMIELEWSKA

KØD & BLOD

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

„Niek którym ludziom sprawy komplikują się zanim jeszcze się zaczyna”

Rozbity, leżący na dachu samochód na pustej drodze... żadnego ruchu ani oznak życia... tylko dym unosi się delikatnie w niebo. Taki obraz otwiera debiut reżyserski Jeanette Nordahl. Nie ma przedstawienia katastrofy, tylko jej następstwa. Następstwa cichej przemocy, która sączy się przez cały film.

Pod takim, oryginalnym tytułem film brał udział w konkursie głównym na krakowskim festiwalu Off Camera, dlatego też w tekście będę się takowym posługiwać. (dosłowne tłumaczenie na język polski to *Ciało i krew*).

Wiele osób w trakcie oglądania tego thrillera dostrzeże podobieństwo do australijskiej produkcji z 2021 r. *Animal Kingdom*, ale nie jest to jego remake. Duński debiut reżyserski Jeanette Nordahl ma swoje atuty, a wśród nich fascynujący popis aktorski Sidse Babett Knudsen.

Po tym, jak mama Idy ginie w wypadku samochodowym, niewzruszona 17-latką (świetny występ Sandry Guldberg Kampp, która ma w sobie coś z młodej Scarlett Johansson) zostaje poinformowana przez służby socjalne, że będzie musiała zamieszkać z ciotką i jej rodziną. Fakt, że obie w zasadzie się nie znają, nie ma tu znaczenia. Ciotka Bodil (wspomniana Sidse Babett Knudsen) mimo że nie widziała siostrzenicy od lat jest gotowa przyjmując nastolatkę pod swój dach bez żadnego problemu. Ciotka jest wesołą, serdeczną i czarującą rozwódką, która mieszka wraz ze swoimi trzema synami w pięknym domu na duńskich przedmieściach.

To Ida jest narratorką filmu i główną postacią, w zasadzie jest jednak cichym obserwatorem; to z jej ust na wstępie i zamknięciu filmu usłyszymy znamienne stwierdzenie: „Niek którym ludziom sprawy komplikują się zanim jeszcze się zaczyna”.

Madsem, Jonas i David, kuzynowie Idy na początku są bardzo gościnni i przyjaźni dla nowej członkini rodziny. Pozornie przyjazna rodzinka, wkrótce jednak zacznie pokazywać swoje prawdziwe oblicze. Ciotka Bodil i jej trzech synów są właścicielami klubu nocnego, ale poza tą działalnością udzielają też pożyczek, które jeśli nie spłacane, ściągane są siłą. Jonas i David grożą dłużnikom, którzy zalegają ze spłatą, odbierając na przykład ich dzieci ze szkoły i oferując im podwiezienie do domu...

Ciotka Bodil jest rodzajem matki, która żyje według własnego zbioru zasad, a kuzyni Idy, którzy w wolnych chwilach nie robią nic poza graniem w video gry, już wiedzą, że lepiej nie kwestionować jej opinii. Są tak przyzwyczajeni do wykonywania poleceń matki, że równie dobrze można to uznać za styl życia. Kobieta kieruje rodziną czułym, ale żelaznym uściskiem, bez wysiłku przeskakuje z czułości we wściekłość, potrafiąc zmanipulować Idę i synów. Jej moc jest bardzo subtelna.

Jest też coś bardzo niepokojącego za każdym razem, kiedy postać Idy pojawia się na ekranie. Na początku mówi i robi bardzo mało – najwyraźniej dziewczyna jest pogrążona w żalu. Jednak jej spokojne opanowanie wydaje się oznaczać coś innego... Kiedy poznała prawdę o swojej nowej rodzinie? Kiedy zdecydowała się na to przystać? Czy faktycznie zdecydowała o czymś takim? Czy

to tylko zespół stresu pourazowego, czy też osobiste przeznaczenie? Jest wyraźnie samotna i nie-szczęśliwa. Mimo wszystko jest gotowa pójść dla nowej rodziny o krok dalej, gdy coś pójdzie nie tak.

Kød&Blod – obiecujący debiut Jeanette Nordahl zbudowany jest w zasadzie, jak każdy inny film o „mafii”, jednak to, co odróżnia ten film od innych z tego gatunku jest to, że opowiedziany i skonstruowany jest z całkowicie kobiecej perspektywy! Z tego też względu –Polecam bardzo!

KØD & BLOD

Produkcja: Dania

Data premiery: 21 lutego 2020

Reżyseria: Jeanette Nordhal

Scenariusz: Ingeborg Topsøe

Obsada: Sidse Babett Knudsen, Sandra Guldberg Kampp, Elliott Crosset Hove, Omar Shargawi, Joachim Fjelstrup



Ewa NOWAK

Żywie Belaruś

Na Białorusi od miesięcy trwają protesty, ich rozwój jest dynamiczny a o prognozy trudno. Protestują wszyscy – kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy – wszyscy, którym przeszkadza dotychczasowa polityka prezydenta Łukaszenki. Domagają się zmian. Głos zabierają też artyści, czasem poprzez swoją sztukę, czasem aktywnie uczestnicząc w protestach tak jak Ales Pushkin.

Muzeum Śremskie od początku grudnia prezentuje wystawę *Żywie Belaruś*. Mimo trwającej pandemii i obowiązującego zakazu działania, znaleźliśmy sposób, żeby ją pokazać. Taką możliwość daje nam nowa, przeszklona galeria – wystawy można oglądać z zewnątrz, spacerując po muzealnym ogrodzie. 29 listopada odsłoniliśmy więc nasze okna i pokazaliśmy 24 prace białoruskich artystów. W wystawie zorganizowanej we współpracy z poznańskim oddziałem Związku Polskich Artystów Plastyków wzięło udział dziewięcioro artystów: Aleks Nowitski, Ales Pushkin, Anton Snt, Ksenia Vysotskaya, Mark Maksimowich, Sergey Shabohin, Vitaly Degtyarev, Władimir Metelski i Włodzimierz Bludnik. Niektórzy z nich od lat mieszkają w Polsce, inni nadal na Białorusi. Kuratorem wystawy jest Mark Maksimowich, który bardzo starannie dobrał artystów, ci z kolei starannie przygotowali prace na wystawę.

Plakat główny zaprojektowany został przez Vitalya Degtyareva, białoruskiego grafika i plakacistę. Grafiką symbolicznie nawiązuje do popularnego wiersza napisanego przez Kornela Czukowskiego w 1921 roku, o zwyczajnym wróble uwalniającym ludzi i zwierzęta od szkaradnego karalucha, który przejął władzę zastraszając i grożąc. Podczas trwających protestów, ludzie często odwołują się do tego wiersza, porównując

urzędującego Aleksandra Łukaszenkę do wielkiego karalucha (cocroach). To rzeczywiście bardzo symboliczne przesłanie...

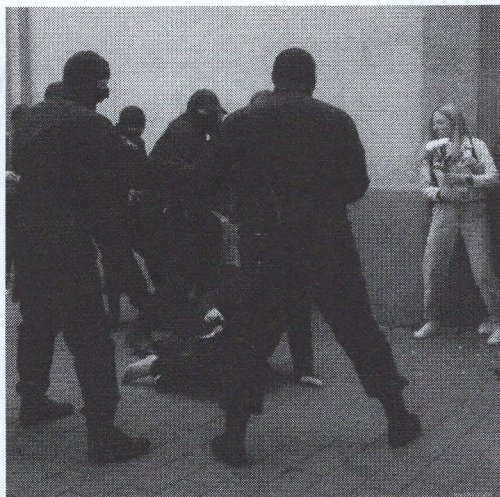
W centralnym miejscu galerii zawisła białoczerwona, historyczna, ponad trzymetrowa flaga, stworzona w Poznaniu przez artystów i ich przyjaciół specjalnie na wystawę. Białoczerwono-biała białoruska flaga ma swoją burzliwą historię. Została zaprojektowana przez architekta Klaudiusza Duż-Duszewskiego jako oficjalny symbol państwowości białoruskiej w 1918 roku i od tego czasu jej używanie było już zakazywane kilkakrotnie. Jedną z legend mówi, że początek faldze dał zakrwawiony bandaż staroliteńskiego rycerza rannego w bitwie pod Grunwaldem. Inna o nawiązaniu do kolorów Pogoni, herbu Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1995 roku, na polecenie Aleksandra Łukaszenki została symbolicznie pocięta na kawałki. Używanie jej jest polityczną deklaracją, gestem sprzeciwu wobec dyktatury Łukaszenki.

Wśród zaprezentowanych prac panuje różnorodność. W 19 okiennych przestrzeniach można obejrzeć zdjęcia, plakaty, obrazy, prace streetartowe, projekty znaczków pocztowych, fotografie. Są bardzo różne, jak różni są uczestnicy wystawy. Łączy je jedno – wyrażają sprzeciw wobec tego, co dzieje się w ich Ojczyźnie.

Warto przyjść, warto obejrzeć, warto na chwilę zatrzymać się, pomyśleć. Wystawa będzie czynna do połowy stycznia.

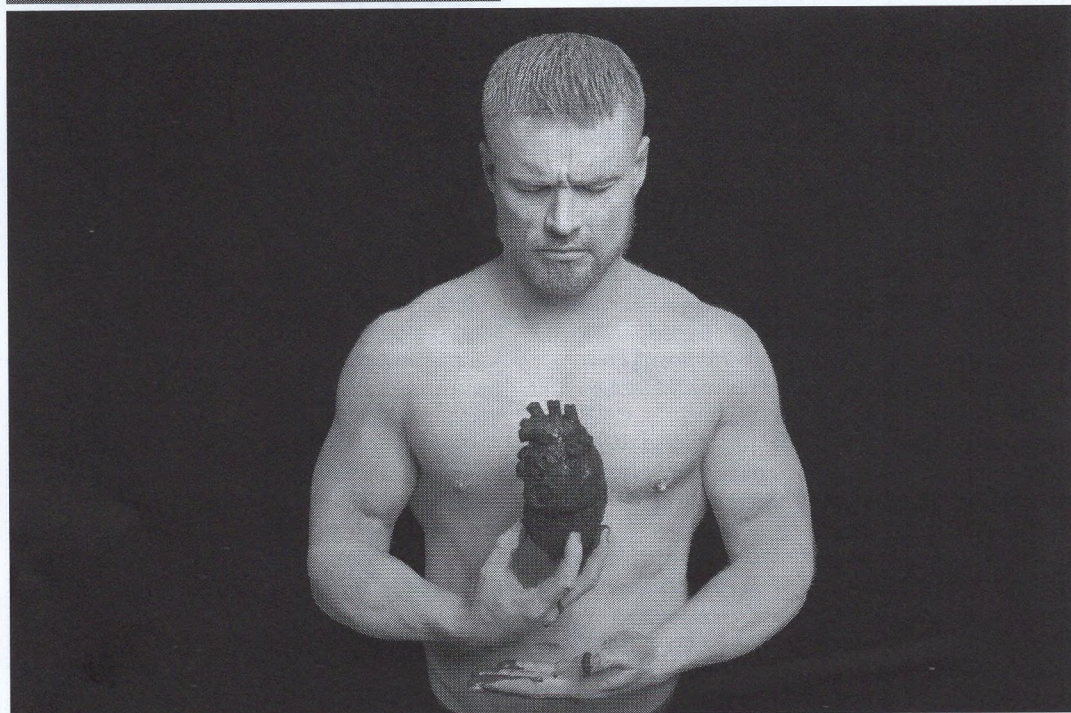
Na stronie obok prace:

V. Degtyarev, W. Metelski – Świt, Anton Snt



DARK

БЕЛАРУСЬ
There was no riot, just a peaceful demonstration



Ewa BIAŁY

Co to jest język muzyczny?

Wszystko gra

Odpowiem dzisiaj Państwu na to pytanie posługując się wiedzą i doświadczeniami wybitnych kompozytorów oraz wieloma metaforami.

Próba wytłumaczenia, zrozumienia i poznania muzyki, nie może się odbyć bez opisu świata, w którym żyli jej twórcy. Na przykład XX wiek w muzyce to czas między innymi Witolda Lutosławskiego, Arnolda Schönberga, Johna Cage i wielu innych kompozytorów, którzy uczestniczyli w końcowym procesie długiego rozpada się klasycznej formy muzycznej i wszystkich innych elementów muzyki, takich jak system dur-moll, harmonia czy rytm. To czas awangardy – eksperymentów z dźwiękiem i instrumentami, dodekafonii – odejścia od systemu dur-moll bazującego na skalach 8-stopniowych (tak zwanych gamach) na rzecz 12-stopniowej, niezależnej skali, czy aleatoryzmu – akceptacji przypadkowości w muzyce polegającej na oddawaniu części tworzenia muzyki wyobraźni wykonawcom. XX wiek to spektakularny czas zanikania wszelkich reguł w twórczości, w trakcie którego trudno było twórcom odnaleźć swoją indywidualną drogę. Może również dlatego XX wiek to czas powrotu do muzyki dawnej, jej odkrywania i badania. Konsekwencją tego jest tak zwane wykonawstwo poinformowane historycznie – czyli wykonywanie muzyki dawnej na kopiach dawnych instrumentów z zachowaniem reguł i zasad odnalezionych w traktatach historycznych.

To co nazywamy powszechnie pięknie brzmiącą muzyką klasyczną zaczęło się już rozpadać w epoce romantyzmu. To tam odbył się pierwszy atak na wypracowaną przez kulturę europejską formę muzyczną poprzez rozbudowywanie wszystkich warstw muzyki do granic ich możli-

wości. Kiedy ustanowiony przez J.S. Bacha system dur-moll zaczął wychodzić poza swoje ramy w twórczości romantyków – Claude Debussy, impresjonistyczny francuski kompozytor poszedł krok dalej, stosując skalę całotonową, puste brzmienia kwartowo-kwintowe i paralelizmy sekundowe. Potem już nie można było tego zatrzymać aż wspomniany Schönberg w ogóle system dur-moll zlikwidował dając dźwiękom najpierw absolutną wolność a następnie porządkując w 12 stopniowe serie. Strawiński zburzył rygory w dziedzinie rytmu, Webern zlikwidował pojęcie melodyki jako poziome następstwo dźwięków – czyli zlikwidował melodię, ponieważ układał ją pionowo (przeskakiwała z głosu do głosu), a Cage zniweczył pojęcie utworu muzycznego jako określonego w czasie przebiegu dźwięków, kreując bądź ciszę, bądź dźwięki nigdy w muzyce nie wykorzystywane. Czy muzyka wobec tego przestała istnieć? Czy zmieniła się jej funkcja społeczna? Miejsce w kulturze? Absolutnie nie. Odzwierciedlała po prostu, tak jak każda sztuka, to co działo się w ogólnie pojętej kulturze. Artyści to ludzie, którzy poprzez swoją głęboką wrażliwość, opisują świat. XX wiek to czas dwóch wojen światowych, czas upadku komunizmu, czas przechodzenia uprzemysłowienia, które miało uczynić ludzkie życie łatwiejszym, w czas generowania nieznanych dotąd potrzeb i konsumpcjonizmu. Akceptacji bylejakości i tworzenia stert śmieci. Czas, w którym wolność wyboru stała się problemem. Pisał o tym Witold Lutosławski – jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów, w swoim *Postscriptum*.

„Komponowania muzyki nie można się już nauczyć w takim trybie, jak miało to miejsce za czasów Bacha czy Mozarta. Liczba ograniczeń i

praw jakim podlegał język muzyczny w tamtych czasach była co prawda wielka, ale kompozytorowi wystarczyło poznać te ograniczenia i opanować prawa albo osiągnąć tak zwane rzemiosło kompozytorskie. Posiadając je zaś, można było w ciągu całego życia je doskonalić i w miarę własnych talentów wzbogacać o elementy nowe, przyczyniając się w ten sposób do wielkiego wspólnego dzieła, jakim był zbiór konwencji artystycznych epoki.[...] Kompozytor współczesny stoi wobec tak wielkiej liczby możliwości wyboru, że zaczyna się gwałtownie rozglądać za jakimiś ograniczeniami i prawami, które mogłyby liczbę tych możliwości wyboru zmniejszyć i skierować jego myśl w jakąś stronę, wyprowadzić z ciemności jaka jest nieuniknionym następstwem sytuacji, w której wszystko wolno. [...] Wystarczy uprzytomnić sobie fakt, że najlepsze instrumenty smyczkowe pochodzą sprzed dwustu a nawet trzystu lat, że budowa instrumentów dętych związana jest ściśle ze skalą harmoniczną, że układ klawiatury fortepianu, organów, klawesynu, a także konstrukcja i strój harfy wynikają wprost ze skal diatonicznych [...] a 12-stopniowa technika jest już zamkniętą kartą historii. Do kłopotów kompozytora należy jeszcze ogólnie przyjęta pisownia, którą z punktu widzenia dzisiejszych technik komponowania trudno określić inaczej niż absurdalną, jeśli wziąć pod uwagę tylko to, że przewiduje ona dla 12 dźwięków zaledwie 7 miejsc na pięciolinii”.

Może łatwiej porównać język muzyczny do używania kolorów i kształtów w XX-wiecznym malarstwie. Ale ani kolor i kształt nie mają nic wspólnego z liczbą 12 i 7. Tam możliwości i dowolności są większe. Język i warsztat kompozytora jest więc indywidualnym sposobem zapisywania świata poprzez 12 dźwięków, korzystając przy tym z 7 miejsc na pięciolinii. Albo – wyjściem poza ten system poprzez eksperymentowanie i używanie do tworzenia muzyki dźwięków nie muzycznych np. odgłosów natury, czy odgłosów ruchu ulicznego. Kompozytor współczesny ma więc bardzo dużo możliwości, dzisiaj nawet dodatkowy umysł w postaci komputera. Ale może też korzystać z tego bogactwa, które poznał w procesie kształcenia swojej osobowości artystycznej. Aleatoryzm i awangarda to poszukiwania. Korzystanie z bogactwa to np. używanie form

muzycznych takich jak allegro sonatowe, czy fuga i wypełnianie ich współczesną treścią.

Język muzyczny można również porównywać do gotowania, o czym w swoich listach wspominał Wolfgang Amadeusz Mozart, albo do mody. Igor Strawiński w swojej *Poetyce muzycznej* wydanej w 1939 roku pisał „Ubiór, jaki moda narzuca ludziom tego samego pokolenia, wymaga od tych, którzy go noszą, specjalnej gestykulacji, zachowania, chodu – ogólne przyjętych i uwarunkowanych charakterem strojów. Tak samo garderoba muzyczna jakiej używa dana epoka odciska swe piętno na języku i, jeśli tak można rzec, na geście muzycznym jak również na postawie kompozytora wobec materii dźwiękowej. Elementy te są bezpośrednimi czynnikami owego zespołu właściwości, jakie nam pomagają określić formację języka muzycznego”.

Prześledźmy zatem w wyobraźni modę i kuchnię XX wieku. Od jego początku do końca. Większość z nas może sobie to uzmysłować poprzez kino. Ilość filmów jakie obejrzeliśmy pozwala naszym umysłom zobaczyć suknię, męski surdut czy garnitur oraz bogactwo lub skromność potraw z początku i końca XX wieku. A także z baroku. Jeśli takim zmianom podlegają ubiór i kuchnia, a co za tym idzie „specjalna gestykulacja, zachowanie, chód” to zmienił się również sposób opisywania świata przez kompozytorów. Zmienił się język muzyczny.

Zapraszam do otwartości umysłu, odważnego poznawania świata XX-wiecznej muzyki i wysłuchania świetnie nagranych utworów kwartetu smyczkowego Witolda Lutosławskiego. To awangardowe brzmienie. Utworem tym rządzi dwunastodźwiękowa harmonika i aleatoryzm kontrolowany
<https://ninateka.pl/audio/kwartet-smyczkowy>.

Posłuchajmy też najślawniejszego dzieła dodekafonicznego *Księżycowy pierrot* Arnolda Schönberga
<https://www.youtube.com/watch?v=vQVkb-KULKpI>

Marta WOJTYSIAK

Mój Rzym. Część 1

Będzie to jedna z kilku opowieści o Rzymie. O nim samym, o tym jak ważny jest dla mnie, jak się poznałiśmy, o tym że podróże zmieniają, i że z pewnymi predyspozycjami się rodzimy, i tylko od nas zależy czy je ożywimy. Znikanie z domu na całe dni, wędrówki i odkrywanie towarzyszyło mi już od dziecka. Tyle, że w promieniu paru kilometrów od domu. Nigdy nie odczuwałam strachu, niepokoju, raczej powodowała mną ciekawość i taki dziecięcy szczerzy zew. Teraz po latach, po tym jak woła mnie świat i po tym z jaką lekkością na to wołanie odpowiadam, wiem, że moje dzieciństwo było tego zapowiedzią. Przed pierwszą wyprawą do Rzymu było sporo innych, Grecja, Hiszpania, Francja, południowe i północne regiony Włoch, wszędzie tam było miło, ale żadne z tych miejsc nie obudziło we mnie głębszego zachwytu.

Do Wiecznego Miasta pierwszy raz wybrałam się 9 lat temu. To był upalny lipiec, przygotowane turystycznie wyruszyliśmy wraz z koleżanką – plan zwiedzania, mapa, książkowy przewodnik i my głodne wrażeń, gotowe na zetknięcie się z osławionym Dolce Vita. Jak dziś pamiętam nasze małe, piękne mieszkanko przy Campo de Fiori. Na pobliski targ zwykłyśmy chodzić po warzywa, owoce, zaznać kolorów i gwaru, które mu towarzyszą. To tutaj przy jednym ze straganów na głośno wyrażane zachwyty, odpowiedział mi Leszek, Polak handlujący w tym miejscu. Po dziś dzień jest moim przyjacielem, to dzięki niemu odkryłam wiele smaków, dowiedziałam się wielu ciekawostek rzymskich i kulinarnych, poznałam wielu ciekawych ludzi. Leszek często dyskretnie pokazuje mi polityków, żony ambasadorów, księżne ze swoimi służącymi, cenionych restauratorów. Poznałam tu także kucharza

Silvio Berlusconi, wyglądającego właściwie jak sobowtór premiera. Stragan ten „wystąpił” też w filmie Woody Allena *Zakochani w Rzymie*. Dokładnie pamiętam też upalny wieczór kiedy zobaczyłam pierwsze rzymskie ruiny. Było to Largo di Torre Argentina, miejsce gdzie w starożytności mieściła się kuria, w której w Idy Marcowe w 44 r. p.n.e zabito Juliusza Cezara, miejsce, w którym padły słowa „I ty Brutusie przeciwko mnie”. Dziś widzimy tylko fragment tego miejsca – naszym oczom ukazują się trzy świątynie, w tym moja ulubiona – Bogini Fortuny, opiekunki dnia codziennego. Obecnie mieści się tutaj ochronka dla kotów, które wygrzewają się leniwie na kamieniach, zupełnie nieświadome w jak niezwykłym miejscu dane jest im żyć. W Rzymie spędzamy siedem intensywnych dni, gorliwie zwiedzamy muzea, kościoły, Watykan, dajemy się naciągnąć na bilet pod Koloseum, błądzimy, pytamy o trasę w autobusach, po czym przy właściwym przystanku chór życzliwych współpasażerów woła, że mamy wysiadać. Cały czas towarzyszy nam słońce, radość, rosnąca ciekawość. Zjadamy się pizzą, makaronami i lodami. Z tego wyjazdu najmocniej zostają w mojej pamięci – rzeźba dłuta Michała Anioła *Mojżesz w Bazylice św. Piotra w Okowach*, tłum przy majestatycznej Fontannie di Trevi, czar wąskich uliczek, małych kawiarenek, sklepów z galanterią skórzaną i genialny styl mieszkańców Rzymu. Wszystko to sprawiło, że po powrocie do domu czuję taki niedosyt, a może taki apetyt, że czym prędzej kupuję bilet i z tą samą towarzyszką moje 30. urodziny spędzam w Rzymie. 4 stycznia w małym hotelowym pokoiku przy Halach Targowych Trajana zdmuchuję moją urodzinową świeczkę.

Kolejne wyjazdy... nie mam już ścisłego planu, przestaje być potrzebna mapa. Poznają Rzym na wycucie, wiem już, które miejsca lubię bardziej, i do których nie mam potrzeby wracać. Wciąż odkrywam coś nowego, zgłębiam wiedzę w wielu źródłach. Nie ma konkretnego wyjazdu, o którym mogłabym powiedzieć, że to wtedy właśnie zaczęło się coś więcej. Rzym mnie fascynuje, apetyt rośnie, budzi się zachwyt, czuję, że tutaj zaspokajam moje zmysły. Zaczynam się czuć jak u siebie, każdy wyjazd kończę planując następny, rodzi się miłość. Odwiedziłam Rzym 29 razy i widzę jak to miasto mnie zmieniło, a może obudziło.

Jestem przekonana, że to co mnie tam spotykało, z czym obcowałam, co odkrywałam, na ile sprawdzałam siebie, było odpowiedzią na pragnienia, które w sobie nosiłam. Nic innego niż doświadczanie nie pokaże nam prawdy o nas samych. Rzym rozbudził we mnie poczucie szczęścia, przepełnia mnie zachwytem za każdym razem gdy podziwiam sztukę, stykam się z histo-

rią, kiedy jem niezwykle dania, obserwuję codzienność mieszkańców, kiedy zwracam twarz ku słońcu. To tu otwierałam się na ludzi, których nie znam, tu uczyłam się, że nie trzeba się znać by porozmawiać, by wymienić się uśmiechem i pięknym *Buongiorno*.

Dolce Vita okazało się prawdą. Nawet jeśli wpadniemy w prozę życia, w Rzymie zawsze otacza nas piękno, za rogiem dumnie trwa Koloseum, przez miasto leniwie płynie Tyber, zewsząd otaczają nas piękne budynki, słońce otula. Z mijanych podczas spacerów kawiarni dobiega dźwięk uderzanych o siebie filiżanek, uwodzi aromat kawy. Mamy zaszczyt być widzami w miejscach, które tworzyli najwięksi, gdzie nakłada się piękno minionych wieków i lat. Rzym rozpieszcza, budzi, karmi zmysły, syci.

Zapraszam na spacer, opowieści przepełnione słońcem, aromatem kawy i pięknem, które nigdzie na świecie nie przeplatają się tak jak w Rzymie.

Fot. Ł. Pietrzak



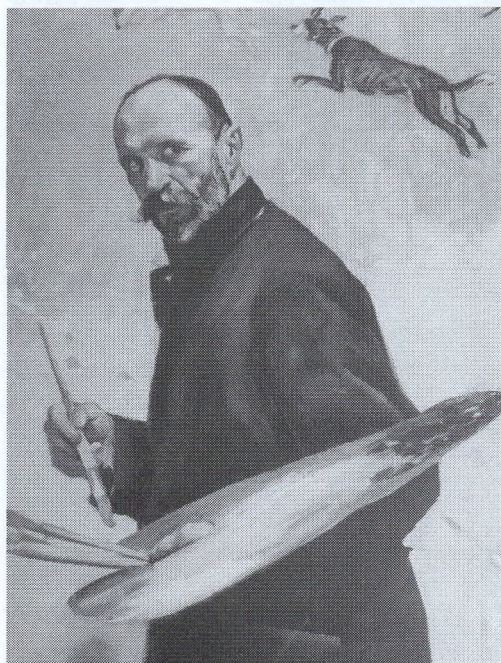
Urszula ŁUKOMSKA

Pory roku w malarstwie. Część 1 – zima

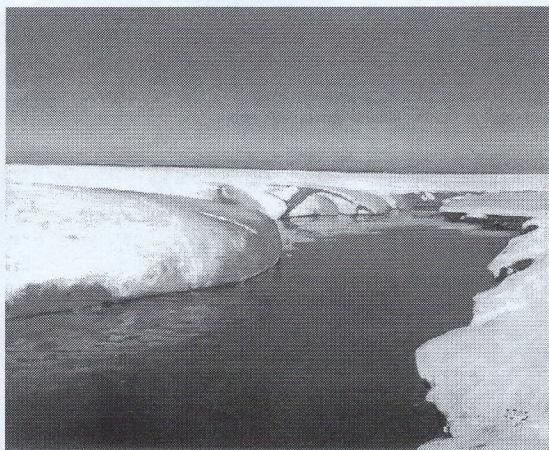
W tym roku postanowiłam zainteresować czytelników polskim malarstwem, głównie drugiej połowy XIX i początku XX w., które uchodzi za najbardziej rodzime. Z konieczności musiałam dokonać wyboru. Przykłady, które przedstawiam należą do tych, które „każdy powinien znać”... Jest w tym sporo przesady, bo nie sposób nie będąc historykiem sztuki, zagłębiać się w tematy bliskie znawcom. Zatem skupię się na tych, które są mi drogie, które podziwiam ilekroć uda mi się zobaczyć je „na żywo”. Zima jest trudnym tematem – do czasu realizmu w malarstwie, prawie nieznanym, najciekawsze prace powstały dopie-

ro w okresie Młodej Polski. Zastanawiałam się według jakiego klucza przedstawić temat i postanowiłam najpierw zająć się krajobrazem, dalej pejzażem ze scenami rodzajowymi, a na końcu obrazami symbolicznymi.

Zacznę od Juliana Fałata (1853-1929), którego czasem nazywa się „malarzem śniegu”, jako że temat był mu szczególnie bliski. Fałat często „pracował cyklami”. Sławę przyniósł mu zestaw akwarel i rysunków wykonanych podczas polowań w Nieświeżu, gdzie gościem ks. Radziwiłła był następca pruskiego tronu Wilhelm. Zaprosił artystę do Berlina, przez kolejnych 10 lat malarz wypracował sobie pewien schemat kompozycyjny dla obrazów z polowań. Powstali *Oszczepnicy*, *Wyjazd na polowanie*, *Powrót z polowania z niedźwiedziem*, różne wersje *Nagonki* – wszystkie zimowe. Został członkiem berlińskiej Aka-



Z lewej: J. Fałat *Autoportret*, fragment obrazu.
Poniżej: J. Fałat *Śnieg*, fragment obrazu





J. Chełmoński *Kuropatwy na śniegu*, fragment obrazu

demii Sztuk Pięknych, wystawiał prace także w Monachium i Dreźnie. Okrzyknięty został najwybitniejszym polskim twórcą scen myśliwskich. W 1895 r. artysta po licznych podróżach po Europie i świecie przeniósł się na stałe do Krakowa. Mając 42 lata przejął schedę po śmierci Matejki, zostając rektorem Akademii Sztuk Pięknych, gdzie zasłynął jako wielki reformator, a także mistrz pejzażu w technice olejnej, akwareli i pastelu. Moim ulubionym pejzażem jest *Śnieg* namalowany w 1907 r., znajdujący się w poznańskim Muzeum Narodowym. Duży obraz o wymiarach 143 x 218,5 cm, doskonale zakomponowany, przedstawia pejzaż zimowy z zakolem rzeki. Tchnie spokojem i w mistrzowski sposób, prostymi środkami oddaje klimat rozlewiska wśród pól. Barwy, światło, faktura są doskonałe. Lekka przewaga błękitów uzmysławia fakt zetknięcia się z malarstwem impresjonistów podczas pobytu w Paryżu. W 1907 r. powstało kilka podobnych obrazów: *Krajobraz zimowy z rzeką*, *Śnieg*, kolejny *Śnieg*, a dwa lata później *Przelot dzikich gęsi*, oparty na prawie identycznym motywie. Mieszkając w Krakowie

artysta uwiecznił kilka zimowych widoków zaułków miejskich i Kaplicę Zygmuntowską w różnych technikach, także graficznych. Pracował tu do emerytury w 1910 r., później przeniósł się do Bystrej na Śląsku Cieszyńskim, gdzie zmarł w 1929 r.

Gdybym miała stworzyć ranking moich ulubionych obrazów o tematyce zimowej *Śnieg* J. Fałata byłby numerem jeden. Na drugim miejscu znalazłyby się *Kuropatwy na śniegu* Józefa Chełmońskiego. Ten znakomity realista, autor wielu znanych obrazów, ustępuje poprzednikowi w ilości „śnieżnych” tematów, choć jego pędzące trojki, czy pejzaże ze scenami rodzajowymi przed karczmami są bardzo znane i swego czasu znakomicie sprzedawały się, zwłaszcza poza krajem. Malarz, którego życie oscylowało między skrajną nędzą w Warszawie i Monachium, a późniejszym bogactwem w Paryżu, malował dużo i z łatwością. Często powtarzał ulubione motywy, które przyniosły mu popularność na Zachodzie, dla marszandów będąc źródłem dochodów, gdyż wszystko co kresowe i ludowe było dla Francu-



W. Wojtkiewicz *Dzieci i pajace*, fragment obrazu

zów czy Amerykanów egzotyczne. Po powrocie do kraju, pod wpływem krytyki przyjaciela Stanisława Witkiewicza, powrócił do cudownych obrazów opartych na obserwacji natury. Zapamiętywał wybrany, obserwowany układ, który kończył w pracowni. *Kuropatwy na śniegu* z 1891 r. ponoć naszkicował pośpiesznie, ubrany w kożuch i walonki. Obraz spory, 123 x 199 cm otrzymał najwyższą nagrodę na wystawie w Berlinie, obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Jest prawie monochromatyczny. Po zwałach śniegu przebiega stadko przepiórek namalowanych cudownie realistycznie. Czuje się mróz, ptaki jakby się kulą... Mnie urzeka prostota tematu. Biorąc pod uwagę fakt, że w tym czasie szczególnie ceniono obrazy historyczne, jest to coś zupełnie nowego, wręcz ożywcze, a sposób namalowania wydaje się całkiem współczesny.

Prawie każdy ze znanych młodopolskich artystów namalował jakąś zimową kompozycję: Podkowiński – *Ulica Nowy Świat w Warszawie w dzień zimowy*, L. Wyczółkowski – *Widok Wawelu z Kaplicą Zygmuntowską w zimie*, F. Ruszczyk – *Młyn w zimie*, *Młyn zimą*, *Krzyż w śniegu*, *Zimowa bajka*, S. Kamocki – *Zima*, T. Axentowicz – *Pogrzeb na Rusi*, *Święto Jordanu* – *świę-*

cenie wody, W. Jarocki – *Portret własny na narciach*, W. Tetmajer – *Muzykanci w Bronowicach* itd. Osobną grupę stanowią zimowe widoki Tatr, które pod koniec XIX w. „odkryte” przez artystów, pisarzy i poetów, ludzi o nietuzinkowych zainteresowaniach, przybliżane śmiertelnikom w artykułach prasowych i ilustracjach, stały się tematem modnym. Najbardziej lubię pastele L. Wyczółkowskiego np. *Widok z Kosińca* czy *Mnich nad Morskim Okiem*, a także S. Filipkiewicza – *Widok Tatr*, pokazujące potęgę gór i ich niewiarygodne piękno. Prace te są doskonałe warsztatowo, w dawnych akademiach uczono technik malarskich z rzemieślniczą wręcz precyzją, niezależnie od kształtowania wrażliwości i indywidualnego stylu. Minęło ponad 100 lat, a dzieła te zachwycają świeżością i kunsztem.

Skoro wspomniałam pastele Wyczółkowskiego, nie sposób nie wymienić cyklu Stanisława Wyspiańskiego. Genialny twórca, polski „człowiek renesansu” zimą 1904–1905 stworzył ponad 40 rysunków na papierze pod wspólnym tytułem „Widok z okna pracowni na Kopiec Kościuszki”, których do dziś zachowało się zaledwie 11. Ja lubię *Chochóły* z dramatycznym wręcz nastrojem. Wśród powyginanych, pozbawionych liści drzew, o niesamowitych kształtach, ustawione są słomiane chochoły otulające różę. Współcześni autorowi odczytywali symbolikę – uśpione zimą krzewy obudzą się na wiosnę, tak jak Polska w okowach rozbiorów ma szansę na przebudzenie i niepodległość.

Na koniec parę słów o moim ulubionym obrazie z poznańskiego Muzeum Narodowego: *Turniej. Bajka zimowa. Dzieci i pajace* z 1908 r. Witolda Wojtkiewicza. To artysta niezwykle, o wyobraźni romantyczno-symbolicznej. Obraz, który od lat podziwiam należy do cyklu „Z dziecięcych póż” i przedstawia chłopca i dziewczynkę w zimowej scenerii, z uwagą śledzących turniej rycerski pajacyków, siedzących na zabawkowych królikach – koniach. Walce przyglądają się jeszcze inne pajacyki, a w tle widać fragment domostwa z gankiem przysypanym śniegiem, drzewami, krzakiem i płotem do sąsiedniego ogrodu. Obraz (80 x 75 cm), namalowany temperą na płótnie, można odczytywać wielorako, namawiam do obejrzenia i własnych przemyśleń.

Ewa NOWAK

Frania

Rzeczy minione

FRANIA, legendarna pralka wirnikowa, która zrewolucjonizowała peerelowskie gospodarstwa domowe, to połączenie metalowej beczki i silnika elektrycznego. Składała się z cylindrycznej komory z emaliowanej blachy (wewnątrz ocynkowanej), w górnej części umieszczono komorę pralniczą, w dolnej silnik elektryczny o mocy ok. 180 W. Produkowana była od 1958 roku. Posiadała ją niemal każde gospodarstwo domowe, zanim w latach 80. XX w. upowszechniły się pralki automatyczne. Do 1986 roku pod znakiem firmowym SHL w Zakładach Wyrobów Metalowych w Kielcach wyprodukowano ponad 6 mln pralek poddawanych różnym modyfikacjom. Po 1986 roku prawa nabyła firma Emalia Olkusz, która produkowała je aż do roku 2014. Plakaty reklamowały Franię tak: „Upierz dobrze, szybko, bez zmęczenia”. Z czasem Franią określano każdą pralkę wirnikową.

Wyżymaczka w akcji. Fot. Grażyna Rutkowska, NAC



Zastosowanie Frani wykraczało poza przypisane jej funkcje. Służyła do domowego farbowania tkanin, produkcji masła, majonezu czy nawet mieszania betonu (!). Zdarza się do teraz używanie jej do prostego domowego masażu wirowego. Pranie we Frani miało również wymiar społeczny – wymuszało na rodzinie współpracę, która nie jest już konieczna przy obsłudze pralek automatycznych.

Pralka Frania z marką SHL fabryki w Kielcach (Suchedniowska Huta „Ludwików”, także marka motocykli)



Bartosz KLIMCZUK



Las amazoński „last minute”

B&B przez Ameryki. Część 9

Poprzednim razem mieliśmy okazję opisywać niezbyt sympatyczną sytuację, jaka nam się przydarzyła w Ekwadorze. Bycie okradzionym nigdy nie jest fajne, a dodatkowo może wpłynąć na ogólną ocenę danego kraju. Paradoksalnie jednak, to właśnie w „państwie środka Ziemi” byliśmy w miejscu, które najbardziej nam się podobało ze wszystkich odwiedzonych w Ameryce Południowej. Wprawdzie pandemia koronawirusa pozwoliła nam zobaczyć tylko Kolumbię, Ekwador i Peru, ale i tak stosunkowo sporo czasu spędziliśmy w tych trzech krajach i mieliśmy okazję zajrzeć do większości najbardziej malowniczych zakątków. Tak czy inaczej, każdy turysta odwiedzający Ekwador koniecznie powinien zagrościć w pewnym niewielkim górskim mieście.

Baños, bo tak nazywa się ta miejscowość, posiada w sobie i swoim otoczeniu wszystko, co zagranicznemu turyście może się spodobać. Wielość pieszych szlaków zadowoli nawet najbardziej wymagających chodziarzy, trasy wspinaczkowe zachęcają zaś tych, którzy chcą się nieco bardziej zmęczyć, a niesamowite widoki są osiągalne nawet dla tych najbardziej leniwych, ponieważ do górujących nad miastem szerokich tarasów można dojechać nawet samochodem. W okolicy Baños znajdziemy kilkanaście dużych wodospadów, parki linowe, kolejki górskie czy tyrolki. Wizytówką tych stron są także huśtawki zawieszane na wysokości 2660 m n.p.m. i więcej, z których skorzystanie może naprawdę dostarczyć sporej dawki adrenaliny. Emocji dostarcza nie tylko bezkresna przepaść, którą ma się pod nogami, ale również symboliczne zabezpieczenie samego krzesełka. Gdyby tego było mało, obsługa huśtawek wychodzi z założenia, że mężczyznom korzystającym z tej atrakcji potrzeba zapewnić jeszcze więcej doznań, także w momencie popy-

chania delikwenta obracają krzesełko w taki sposób, aby w trakcie lotu huśtawka kręciła się wokół własnej osi. Dobra zabawa gwarantowana, nie polecamy jednak decydowania się na „lot” z pełnym żołądkiem.

Samo miasto również może podobać się turystom. Wprawdzie nie znajdziemy tutaj ze wiele zapierającej dech w piersiach historycznej architektury, ale mnogość różnych restauracji i barów pozwala nam zjeść dokładnie to, na co mamy ochotę, co w Ekwadorze, szczególnie w mniejszych miejscowościach, wcale nie jest takie

Półdzikie zwierzęta spotkane w amazońskiej puszczy



oczywiste. Ceny też są przystępne nie tylko jeśli chodzi o jedzenie, ale również noclegi. Baños posiada nawet kilka nocnych klubów, gdzie można bawić się do białego rana. Koniecznie trzeba wspomnieć też o innym charakterystycznym miejscu w mieście, czyli łaźniach. Mimo, iż są one zdecydowanie bardziej popularne wśród miejscowych lub turystów z innych krajów Ameryki Południowej, to zdarza się, że Europejczycy także dają się namówić na kąpiel. Wydaje nam się, że najbardziej są oni ciekawi otwartej konstrukcji części łaźni, w której można zażyć kąpieli pod gołym niebem. W mieście w oczy rzuca się też od razu spora ilość biur podróży, które oferują wiele wycieczek nie tylko po najbliższej okolicy, ale również nieco dalszych zakątkach. Na jedną taką wycieczkę postanowiliśmy się skusić...

Początkowo w planach całego naszego wyjazdu nie było odwiedzenia puszczy amazońskiej. Teren ten wydawał nam się absolutnie nie po drodze, w dodatku dla osób nieznających języka hisz-

pańskiego dotarcie tam na własną rękę wydawało się (słowo klucz!) albo bardzo trudne, albo bardzo czasochłonne, albo bardzo drogie. Nasi podróżnicy przyjaciele, z którymi mieliśmy okazję wspólnie świętować w Kolumbii Tłusty Czwartek, nie mogli zrozumieć tego, jak mogliśmy zorganizować wyprawę po Ameryce Południowej nie zahaczając chociażby o krańce lasu amazońskiego. Oni sami planowali się tam wybrać najszybciej, jak to będzie tylko możliwe. Szczerze przyznajmy, że dało nam to trochę do myślenia, szczególnie, że w Baños można znaleźć biura podróży organizujące tam wycieczki. Po dokładnym przeliczeniu naszego budżetu postanowiliśmy położyć wszystko na jedną kartę i wybrać najbardziej optymalną czasowo wyprawę. Z perspektywy czasu stwierdzamy, że nie mogliśmy podjąć lepszej decyzji.

Do lasu amazońskiego najpierw jechało się autobusem, później specjalnie przygotowanym do tego celu samochodem terenowym, a na końcu wraz z przewodnikiem płynęliśmy po rzece łódką.

Ekwadorska puszcza – dziwne budowle wydrążone w skałach





Taras widokowy na las deszczowy

Ten ostatni etap był szczególnie emocjonujący, ponieważ woda nie była wcale taka spokojna, a na naszej drodze często pojawiały się skały czy sporych rozmiarów gałęzie. Na całe szczęście nie my byliśmy odpowiedzialni za jej sterowanie. Wszyscy bezpiecznie dotarliśmy do miejsca, skąd już tylko pieszo można było wejść w leśne gęstwiny. Tam przewodnik pokazywał nam „odmładzające” błoto (faktycznie, skóra po nim robiła się jakaś taka gładza...), czy naturalne, roślinne olejki doskonale przeczyszczające nos. Na końcu wyprawy czekała nas mała tubylcza wioska, która utrzymywała się z niewielkich upraw oraz oczywiście wizyt turystów. W tym miejscu można było zakupić lokalne rękodzieło, albo spróbować zrobić sobie zdjęcie z półdzikimi zwierzętami. To drugie nie było jednak takie proste, ponieważ małpki czy ptaki same decydowały o tym, czy możesz się do nich zbliżyć, a chwytanie ich lub nachalne nagabywanie nie było przez

miejsowych mile widziane. Niekiedy jednak kawałek mandarynki czy pomarańczy trzymany w ręku rozwiązywał sprawę...

Tuż przed opuszczeniem puszczy amazońskiej zaprowadzono nas jeszcze na górę, z której szczytu rozpościerał się niesamowity widok na cały las. Ludzie, jak się zdaje, często chcieli mieć z tego miejsca zdjęcie, ponieważ ze względów bezpieczeństwa zbudowano drewniany taras widokowy. Wycieczka zakończyła się na pobliskiej naturalnej plantacji czekolady. Mogliśmy z bliska przyrzeć się tam produkcji tego lokalnego specjału i spróbować efektu końcowego. Nigdy w życiu byśmy nie przypuszczali, że oryginalna czekolada, pozbawiona wszelkich zbędnych dodatków, może być aż tak gorzka... To, co możemy kupić w polskich sklepach pod nazwą „czekolady gorzkiej”, w porównaniu do próbki przekazanej nam do spróbowania w okolicy Baños jest czymś ekstremalnie słodkim.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Noworoczne postanowienia

Okiem belfra

Zaczął się kolejny rok, a to czas podsumowań i postanowień. Czasem kpimy sobie z tych noworocznych postanowień, obietnic i celów stawianych nieco na wyrost. Ale tak naprawdę to nieszkodliwe, a nawet pozytywne objawy automotywacji. Myślę, że każdy człowiek potrzebuje czasu podsumowania i otwarcia w pewnych cyklach. To daje poczucie, że mogę o czymś zapomnieć, a o czymś zamarzyć na nowo. Nauczyciele w przeciwieństwie do reszty społeczeństwa ten moment przeżywają 1 września. My swojego sylwestra mamy ostatniego sierpnia, tylko zamiast otwierać szampana, szykujemy teczeki i przyborniki.

Za nami trudny rok. Był zupełnie inny, budził wiele skrajnych emocji. A zaczął się niewinnie. Doniesienia o nowej chorobie w Chinach, w odległym regionie, nieznanym mieście Wuhan były niepokojące, ale daleko nam było jeszcze do paniki. Kolejne tygodnie przyniosły jednak wydarzenia, które sprawiły, że nagle zaczęliśmy myśleć, iż Chiny są jakoś dziwnie coraz bliżej. W szkole atmosfera panowała stabilna. Rozmowy o nowym wirusie toczyły się co prawda na szkolnych korytarzach, w salach i pokoju nauczycielskim, ale nikt nie wierzył, że stanie on się przyczyną tak wielu zmian. 12 marca w szkole emocje sięgnęły zenitu. Informacja o zamknięciu placówek oświatowych wywołała różne reakcje. Nie ma co ukrywać, że uczniowie wiwatowali. Tego jeszcze nie było – zostajemy w domu, choć nikt z nas nie jest chory! Wśród nauczycieli nastroje nieco inne – i co dalej? Jak teraz będziemy pracować? Co to znaczy zdalnie? Czy my sobie poradzimy?

Dziś po wielu miesiącach i kolejnym zamknięciu szkół jesteśmy już bardziej doświadczeni i mądrzejsi o własne i cudze błędy. Umiemy poruszać

się w wirtualnym świecie, wyposażeni jesteśmy w wiele narzędzi. Tylko strach pozostał. I to nie tylko przed samą chorobą, która może uderzyć znienacka i powalić na kolana, a nawet zabrać naszych bliskich, czy nas samych. Pozostała obawa o nasze szkolne dzieci. Jak ten czas się na nich odbije? Jedni zastanawiają się, jak wielkie będą luki w posiadanej wiedzy. Inni stawiają sobie pytania o umiejętności, których nasi uczniowie nie nabędą, bo jednak online nie można wyćwiczyć wszystkiego. Ale są i tacy, którzy machają ręką na pierwszą zasadę dynamiki Newtona, czy deklinację, a pytają o jakość życia społecznego. Czy po tylu miesiącach nasze dzieci wyjdą w świat odważnie, czy ze strachem? Czy będą potrafiły stanąć oko w oko z drugim człowiekiem? Przełom roku to czas podsumowań semestralnych w szkołach. Moment wystawiania ocen, przygotowywania sprawozdań i wielu, wielu najróżniejszych zestawień. W tym wszystkim musimy pamiętać o tym, że nasz uczeń to nie tylko numer w dzienniku. Nasz uczeń to żywy człowiek. Dlatego proszę moich uczniów, by na profilu, z którego łączą się na platformie, z której korzystamy w zdalnym nauczaniu, koniecznie umieścili swoje zdjęcie. Nie chcą włączać kamer – rozumiem to, szanuję ich decyzję o zachowaniu pewnej domowej prywatności. Ale to zdjęcie pomaga mi pamiętać, że po drugiej stronie komputera mam prawdziwego człowieka. W związku z tym muszę starać się go nauczyć wielu rzeczy. I nie chodzi tu o datę urodzin i śmierci Mickiewicza – to znajdują bardzo szybko w internecie, gdy kiedyś przypadkiem będą potrzebować. Muszę nauczyć ich wiary we własne możliwości, poczucia wartości, przekonania, że gdy zechcą, mogą osiągnąć bardzo wiele. I takie właśnie są moje noworoczne postanowienia.



Wieści z ratusza

PGNiG ODKRYŁO NOWE ŻŁOŻE GAZU W DĄBROWIE

Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo, przy współpracy z ORLEN Upstream, sukcesem zakończyło wiercenie odwiertu Grodzewo-1 w gminie Śrem. Spółka szacuje, że otwór pozwoli na wydobyć ok. 20 mln m³ gazu ziemnego rocznie.

Sukces odwiertu Grodzewo-1 to kolejny dowód na duży potencjał węglowodorowy centralnej części województwa wielkopolskiego. Jesteśmy zdeterminowani by w pełni wykorzystać te zasoby, dlatego w przyszłym roku planujemy kolejne wiercenia w tym rejonie – powiedział Paweł Majewski, Prezes Zarządu PGNiG SA. Powodzenie odwiertu cieszy tym bardziej, że prace przy nim były prowadzone w trudnych warunkach spowodowanych restrykcjami związanymi z epidemią koronawirusa – dodał.

Odwiert Grodzewo -1 został zrealizowany w ramach koncesji łącznej nr 29/2001/Ł Śrem-Jarocin, na poszukiwanie złóż ropy naftowej i gazu ziemnego oraz wydobywanie ropy naftowej i gazu ziemnego. Prace były prowadzone wspólnie ze spółką ORLEN Upstream – zgodnie z umową o współpracy zawartą w 2009 roku, PGNiG posiada 51%, a ORLEN Upstream 49% udziałów w koncesji.

Odwiert osiągnął głębokość 2940 metrów. Prace wiertnicze zrealizowała spółka Exalo Drilling SA należąca do Grupy Kapitałowej PGNiG.

Wcześniej w tym rejonie odkryto m.in. złoża Zaniemyśl, Środa Wielkopolska, Roszków, Kromolice i Kromolice Południe, Winna Góra, Lisewo, Komorze, a ostatnio złożo Miłosław.

Prowadzone prace są częścią realizowanego przez PGNiG intensywnego programu poszukiwawczego, obejmującego utwory czerwonego

spągowca na Niziu Polskim. O ich zasobności i perspektywach obszaru świadczy fakt, że w ciągu ostatnich 50 lat w utworach czerwonego spągowca zostało odkrytych kilkadziesiąt złóż. Od lat 90. czerwony spągowiec pozostaje głównym celem prac poszukiwawczych PGNiG w zachodniej części kraju.

POWSZECHNY SPIS ROLNY 2020

30 listopada br. zakończył się Powszechny Spis Rolny 2020. Od 1 października do 30 listopada przy spisie pracowało 3 rachmistrzów. Jest to najważniejsze badanie polskiego rolnictwa realizowane raz na 10 lat w Polsce oraz w krajach Unii Europejskiej.

Na terenie całego kraju zostało spisanych niemal 98% gospodarstw rolnych; w gminie Śrem – 100%. Gmina Śrem liczy 806 gospodarstw indywidualnych oraz 13 gospodarstw osób prawnych.

WOŁONTARIUSZE 2020 ROKU

7 grudnia 2020 r. Lokalne Centrum Wolontariatu działające przy Fundacji na Rzecz Rewaloryzacji Miasta Śrem nagrodziło osoby, które w 2020 r. podejmowały działania na rzecz społeczności lokalnej w czasach panującej pandemii.

Docenione zostały dwie osoby:

Patrycja Suszczewicz – inicjatorka grupy „Śrem Szyje Maseczki dla Szpitali i Mieszkańców”. Pani Patrycja początkowo samodzielnie wykonywała maseczki, a następnie koordynowała prace ponad 100 wolontariuszy szyjących maseczki oraz kilkunastu „kurierów” odpowiedzialnych za dostawę materiałów i gotowych maseczek.

Paweł Wawrzyniak – inicjator grupy „Pomocna Dłoń – akcja wsparcia dla seniorów w Śremie”, który wraz z grupą wolontariuszy z Korpusu Kadetów Zespołu Szkół Technicznych w Śremie

nieśli pomoc seniorom poprzez dostarczanie zakupów, posiłków, leków, książek itp. osobom starszym lub samotnym.

Nagrody i wyróżnienia wręczyli Zastępca Burmistrza Śremu Bartosz Żeleźny oraz Prezes Fundacji na Rzecz Rewaloryzacji Miasta Śrem Hieronim Bartkowiak.

TEREN BYŁEJ ŻWIROWNI DLA MIŁOŚNIKÓW KOLARSTWA

20 listopada br. w Urzędzie Miejskim w Śremie odbyło się spotkanie, którego celem było nawiązanie współpracy pomiędzy gminą a śremskimi klubami kolarskimi. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski spotkał się z przedstawicielami Klubu Kolarskiego Kometa oraz osób zainteresowanych zawiązaniem stowarzyszenia zajmującego się kolarstwem górskim.

Na obecnym etapie celem współpracy jest przygotowanie pod względem organizacyjnym i prawnym terenu gminnego byłej żwirowni przy ul. Nowowiejskiego w Śremie do umownego

przekazania na potrzeby statutowej działalności klubów kolarskich. Na czas oczekiwania na zawarcie docelowej umowy użyczenia kluby używały pisemną zgodę burmistrza na objęcie wydzielonych części nieruchomości we władanie, celem podjęcia prac porządkowych oraz wstępnych działań przygotowujących teren pod kątem przyszłych potrzeb. Głównym założeniem przyszłych umów jest stworzenie dobrych warunków do pracy z młodzieżą w ramach kolarskich klubów sportowych oraz zagospodarowanie narażonych na dewastację terenów gminnych.

REWITALIZACJA LINII KOLEJOWEJ NR 369 NA ODCINKU ŚREM-CZEMPIN W DRUGIM ETAPIE PROGRAMU KOLEJ+

24 listopada 2020 r. PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. zakończyły ocenę formalną 96 wniosków zgłoszonych przez samorządy do Programu Uzupełniania Lokalnej i Regionalnej Infrastruktury Kolejowej Kolej+ do 2028 roku. 79 z propozycji (ponad 80%) spełniło wymagania formalne



naboru i zostało zakwalifikowanych do II etapu. Projekt Rewitalizacji linii kolejowej nr 369 na odcinku Śrem–Czempin zgłoszony przez Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego przeszedł do kolejnego etapu.

Do drugiego etapu zakwalifikowało się pięć projektów zgłoszonych przez Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego:

- Budowa nowej linii kolejowej Turek–Konin
- Rewitalizacja linii kolejowej nr 369 na odcinku Śrem–Czempin
- Rewitalizacja linii kolejowej nr 360 na odcinku Gostyń–Kąkolewo
- Rewitalizacja linii kolejowej nr 368 Międzychód–Szamotuły
- Rewitalizacja kolejowego ciągu komunikacyjnego na liniach kolejowych nr 390 / 236 Czarnków–Rogoźno–Wągrowiec.

W drugim etapie Programu Uzupełniania Lokalnej i Regionalnej Infrastruktury Kolejowej Kolej+ do 2028 r., zadaniem samorządów będzie m.in. opracowanie wstępnych studiów planistyczno-prognostycznych projektów zwiększających dostępność do kolei. Na opracowanie dokumentacji samorządy będą miały 12 miesięcy. Aby wypracować jednolity standard koncepcji, samorządy będą pracowały na udostępnionych przez PLK dokumentach przetargowych dla inwestycji punktowych lub liniowych. Ponadto

wnioskodawcy pozyskają niezbędne dokumenty, opinie oraz wnioski z konsultacji społecznych. Istotne będzie także przedłożenie dokumentu potwierdzającego zabezpieczenie finansowania minimum 15% wartości inwestycji oraz deklaracji właściwego organizatora przewozów odnośnie uruchomienia i finansowania przewozów min. 4 par pociągów przez 5 lat.

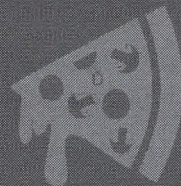
Po tym etapie projekty będą podlegały ocenie wielokryterialnej, której wynikiem będzie utworzenie listy rankingowej projektów i kwalifikacja ich do realizacji w Programie Kolej Plus.

NIERUCHOMOŚĆ DLA WOPR

19 listopada br. w Urzędzie Miejskim w Śremie nastąpiło spotkanie Burmistrza Śremu i przedstawicieli Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Celem spotkania było podpisanie umowy użyczenia nieruchomości położonej nad jeziorem Grzymisławskim oddziałowi WOPR. Umowa obejmuje użyczenie części nieruchomości o pow. 860 m² zabudowanej budynkiem, położonej w Śremie przy ul. Jeziornej, oznaczonej ewidencyjnymi numerami działek 2244 i 2243/4, z przeznaczeniem na stanicę WOPR. Zawarta została na 20 lat. Dokumenty sygnowali Burmistrz Śremu Adam Lewandowski oraz Prezes Zarządu Miejsko-Powiatowego WOPR w Śremie Krzysztof Gabrysiak.



WSPIERAM LOKALNY BIZNES



... zamawiam na wynos

Na nieruchomości zlokalizowany jest budynek, który w ostatnich miesiącach został wyremontowany, a jego otoczenie uporządkowane. Ratownicy zyskali nowe miejsce do pracy oraz prowadzenia szkoleń dla kolejnych chętnych do pracy w tej profesji.

WSPIERAM LOKALNY BIZNES I ZAMAWIAM NA WYNOS

W trudnej sytuacji związanej z pandemią i ograniczeniami w zakresie działalności obiektów gastronomicznych, gmina Śrem zachęca wszystkich mieszkańców do korzystania z oferty śremskich restauracji!

Szanowni Mieszkańcy gminy Śrem – wspierajmy się nawzajem!

Zapewne wielu z Was może sobie pozwolić na zamówienie jedzenia z restauracji. Zamówienie kolacji czy obiadu na wynos, chociaż raz na jakiś czas, pomoże innym mieszkańcom gminy – naszym sąsiadom!

WSPIERAJMY LOKALNY BIZNES!

Lokale zostały niemal pozbawione możliwości zarabiania w okresie pandemii. Dostosowując swoje działania do bieżących warunków: wprowadzając ofertę dowozu, modyfikując menu, przygotowując catering do domu – dokładając wszelkich starań, by przetrwać tę trudną sytuację. Zamknięcie restauracji rozpoczyna niestety łańcuch, w którym znajdują się także lokalni producenci towarów czy pracownicy stojący przed widmem utraty pracy.

OŚRODEK POMOCY SPOŁECZNEJ OTRZYMAŁ NAGRODĘ MINISTRA

Minister Rodziny i Polityki Społecznej Marlena Maląg przyznała nagrody za wybitne i nowatorskie rozwiązania w zakresie pomocy społecznej. Jedną z sześciu nagród zespołowych otrzymał Ośrodek Pomocy Społecznej w Śremie za realizację kompleksowego programu w zakresie polityki senioralnej w gminie Śrem oraz wkład w podejmowanie działań mających na celu wsparcie i integrację osób starszych w ramach działalności Centrum Wspierania Aktywności Seniorów w Śremie.

Ośrodek Pomocy Społecznej w Śremie jest inicjatorem i koordynatorem działań adresowanych do grupy wiekowej 60+, która stanowi blisko 10% mieszkańców naszej gminy. Realizuje sze-

reg usług przeciw wykluczeniu społecznemu i marginalizacji grup i osób, w tym seniorów. Działania senioralne realizowane w oparciu o Program na rzecz osób starszych na lata 2017–2025 to:

- Klub Senior+, który działa od stycznia 2020 r.
- Koordynator ds. polityki senioralnej gminy Śrem, którego zadaniem jest wdrażanie polityki senioralnej gminy Śrem;
- Inicjatywy i projekty, które na stałe wpisały się w kalendarz śremskich wydarzeń takie jak: Amatorski Klub Literacki, Grupa Wsparcia dla osób będących w kryzysie emocjonalnym po stracie bliskiego, cykl wykładów Eksperti Dobrego Życia, projekt edukacyjny Akademia Pełni Życia, Boule dla seniorów, Babcie i Dziadkowie – Rodzinni Nauczyciele Tradycji i Historii, „Niedzielną Herbatka”.

Taki zakres działań jest możliwy dzięki współpracy Ośrodka Pomocy Społecznej w Śremie z lokalnymi partnerami, liderami i organizacjami, co pozwala na tworzenie przyjaznej i otwartej przestrzeni społecznej dla osób starszych.

Wręczenie nagród z uwagi na aktualną sytuację epidemiczną odbyło się 19 listopada 2020 r. w formie on-line, podczas transmisji uroczystości z okazji Dnia Pracownika Socjalnego. W transmisji w Klubie Senior+ brali udział burmistrz Adam Lewandowski i przedstawiciele OPS: kierownik Maria Świdurska oraz pracownicy.



**WSPIERAM
LOKALNY
BIZNES**

RES GESTAE - PROGRAM HISTORYCZNY

KAWALEROWIE
WALECZNI



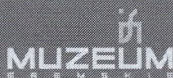
odcinek 1 - Kawalerowie Waleczni



Oglądaj na youtube.com/muzeumsremskie

A L E K S I U N
C I E Ś L E W I C Z
L E N I C A
L I P I Ń S K I
M Ł O D O Ż E N I E C
P Ą G O W S K I
S A W K A
G E T - S T A N K I E W I C Z
S T A R O W I E Y S K I
Ś W I E R Z Y
T O M A S Z E W S K I

POLSKA SZKOŁA PLAKATU
WYSTAWA ZE ZBIORÓW MUZEUM ŚREMSKIEGO



Wystawa do oglądania z zewnątrz od 23 stycznia do 28 lutego 2021 r.

Historyczne kadry K i n a S ł o n k o



Masz stare zdjęcia kina? Pamiątki lub niecodziennie
wspomnienia związane z Kinoteatrem Słonko?

Podziel się nimi z nami!

Prosimy o kontakt mailowy (info@kinoteatrslonko.pl)
lub telefoniczny (691 688 054 lub 533 960 511).

Zebrańe materiały posłużą nam do stworzenia kroniki Kinoteatru Słonko.



Biblioteka

Publiczna im. H. Świącickiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



KSIĄŻKI NA WYNOS



Od 1 grudnia 2020 roku Biblioteka Publiczna w Śremie oraz jej filie realizują „gastronomiczne” sposoby odbioru zamówionych książek. Podobnie jak dania z menu restauracji potraktujemy wybrane przez Państwa książki lokując je w papierowych torbach na wynos.



Wyboru należy dokonać w katalogu online na stronie www.biblioteka.srem.pl, a następnie zamówić telefonicznie lub mailowo w bibliotece lub filiach. Literackie przysmaki będą na Państwa czekały w bibliotece w uzgodnionym dniu i godzinie. Podobną drogą (bez kontaktu bezpośredniego z bibliotekarzami) będzie można oddać przeczytane książki.

Prosimy o przestrzeganie odbioru i zwrotów książek w ustalonych z bibliotekarzami dniach i godzinach.



ADRESY MAILOWE I TELEFONY DO ZAMÓWIEŃ (podane godziny od 1 do 4 grudnia 2020)

BIBLIOTEKA, ul. Grunwaldzka 10, Tel.: 61 28 35 467.
Mail: dorosli@biblioteka.srem.pl, młodzież@biblioteka.srem.pl,
dzieci@biblioteka.srem.pl, mediatka@biblioteka.srem.pl
Godziny: 12.00–18.00

FILIE:

PRZY MÓSCIE ul. Kilińskiego 2, tel.: 61-895-08-70

Mail: przymoscie@biblioteka.srem.pl

Godziny:

Poniedziałek - 8:00-16:00

wtorek – czwartek - 10:00-17:00

piątek - 8:00-16:00

BŁOCISZEWO, tel.: 731-055-300

Mail: blociszewo@biblioteka.srem.pl

Godziny:

Poniedziałek - 10:00-18:00

piątek - 8:00-16:00

NIESLABIN, tel.: 731-099-300

Mail: nieslabin@biblioteka.srem.pl

Godziny:

Wtorek - 10:00-18:00

Czwartek - 10:00-18:00

PYSZĄCA, tel.: 731-055-300

Mail: pyszaca@biblioteka.srem.pl

Godziny:

wtorek, środa - 10:00-18:00

czwartek - 8:00-16:00

WYRZEKA, tel.: 731-099-300

Mail: wyrzeka@biblioteka.srem.pl

Godziny:

Poniedziałek - 10:00-18:00

Środa - 10:00-18:00

Piątek - 8:00-16:00



Zełście nad Warę w Górze, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Fot. Maciej Sawicki
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

jest,
było,
się mówiło

Ostatni dom z najstarszej zabudowy ulicy ks. Piotra Wawrzyniaka



Fot. z archiwum Horowskich



Fot. Piotr Pieczykolan, 2020



ISSN 1232-7476



9 771232 747018

01